

N

Mieszkałam we Lwowie, tam była moja pierwsza praca w księżnicy Atlas, w redakcji literatury pięknej, pracowałam jako korektor.

Pochodzę z rodziny bardzo średniej, mieszczańskiej, po Powstaniu Styczniowym już bardzo podupadłej, wcale nie zamożnej. Urodziłam się w Augustowie, w lasach augustowskich, jestem leśny człowiek. Najpierw pracowałam jako bezrobotny magister we Lwowie, w Wilnie w Instytucie Nauk Wschodnich i potem, jak przyszedł ten okres wywożenia, to trafiłam do niedobrego mieszkania. Był zbombardowany dom, w którym mieszkałam.

W Wilnie skończyłam studia. Pracę dostałam we Lwowie, więc wyjechałam do Lwowa. Kiedy przyszedł ten 39 rok, ~~Pracowałam~~ skończyłam kursa pielęgniarskie, dziewięciomiesięczne, jeszcze tuż przed wybuchem wojny, byłam na praktyce, miałam mieć pół roku praktyki w szpitalu wojskowym, i wtedy pierwsze bomby spadły na Lwów, niemieckie.

Po wejściu Rosjan były okropne rzeczy. Rozbrajali naszych oficerów, ~~z~~ nie wiedzieliśmy do końca, że ~~ta~~ takie są te stosunki, że oni razem współpracują, i kiedy kazali złożyć im broń, znaczy Rosjanie i Niemcy, i kiedy ci nasi dowiedzieli się, że oni są razem, niektórzy sobie ... samobójstwo popełnili, kiedy im kazali oddawać broń. Wszyscy byli wstrząśnięci. Potem leżeli ranni, byłam w pracy jako pielęgniarka, zrezygnowałam z pracy w redakcji oczywiście, ukraińska już redakcja była, radzińska /?/ szkoła objęła to, księżnicę Atlas, chodziłam wtedy po szpitalach i tym rannym naszym żołnierzom... W szpitalu, najpierw na Politechnice był szpital, pracowałam tam zmobilizowana. Więc chodziłam po szpitalach, ~~szukali~~ ^{prosili} ranni tam niektórzy, żeby rodzinę powiadomić, albo poszukać kogoś, naszych oficerów różnych ~~szukałam~~ szukałam.

Praca w szpitalu była straszna. Paru tylko Niemców żezało, wszystko reszta nasi i trochę Rosjan. Na jednej sali leżał Rosjanin, który miał rewolwer, wysoką temperaturę i nie chciał oddać, nikt mu go nie mógł odebrać, ani lekarze, ani my, bałyśmy się do jego łóżka podchodzić, straszne były rzeczy. Przekonałiśmy się też wtedy, jak wygląda ich równość, bo niektórzy na przykład dostawali kawę białą i słodzoną, ani niektórzy nie. Rosjanie i Niemcy dostawali, a nasi nie.

W szpitalu był tylko profesor Gruca, on był nadzwyczajny. To był naprędce zorganizowane na Politechnice, były 4 stoły operacyjne dla rannych, 4 sale operacyjne po 4 stoły, to 16 stołów, i to była właściwie rzeźnia, coś straszego. Rannych przywozili w straszliwym stanie. Kiedyś nie było nowych rannych, cieszyliśmy się bardzo, że tak dobrze idzie, a jak przywieźli ~~ich~~, ~~rannych~~ to była rozpacz. Rany były w okropnym stanie, najpierw trzeba było oczyścić z robaków, kubły podstawiało się, a potem można było oczyścić, to było podobno szczęśliwe, bo te robaki ponoć oczyszczają rany, a ~~le~~ to wyglądało strasznie, i praca była okropna. Nie było światła, nie było opaku, trzeba było nad stołem operacyjnym trzymać lampę naftową stojąc na stołku i oświetlać pole operacyjne. Głowy lekarzy nad tą raną, trudno tą lampą manewrować, lekarze klęli; jak siostra trzyma tę lampę, a my nie mogliśmy nic zrobić! Nie było wody, wodę trzeba było nosić wiadrami na piętro. To wszystko należało do pielęgniarek. Potem przyszli Niemcy odebrać tych rannych swoich, mieli fantastyczne koce, prześliczne nosze, do tych warunków potwornych. Pracowałam we Lwowie do 13 kwietnia 40 roku, kiedy zaczęła się ta przecia chyba porcja wywózek.

Mieszkałam w niedobrym mieszkaniu, bo u prezesa Sądu Apelacyjnego, po zbombardowaniu tego poprzedniego mieszkania, gdzie wynajmowałam pokój. Oni mnie przyjęli. Mieszkanie było duże, sześciopokojowe, w każdym pokoju rodzina jedna uciekinierów.

~~Ponieważ zaczęłam pracować jako robotnica w drukarni, / dostałam~~
~~większy przydział.~~ Praca pielęgniarska już się skończyła, pracowałam w drukarni jako składaczka. Jako robotnica miałam większy przydział chleba i przy rozdziale mieszkania dostał mi się olbrzymi gabinet razem z buduaem, było tak połączone razem. Wobec tego zaproponowałam starej pani Julii Bielawskiej, / teściowej sądziego osiemdziesięcioletniej Dębickiego, ~~w której mieszkaniu~~ ~~z nogami spuchniętymi~~ jak kłoce, żeby zamieszkała u mnie. Załatwiłam sprawę jej dowodu, bo ona nie wychodziła, tylko suwała nogi, trzymając się ściany. I kiedy przyszli po nią 13 kwietnia... A jej wyznaczono malusieńki pokój jako tej burżujce, służbówkę. Zaproponowałam, żeby przeniosła się do moich apartamentów i fatalnie na tym wyszłam. Jak przyszli ją zabierać, ona nie wiedziała, co zaszkodzi, a co nie i na pytanie o mnie powiedziała, że jestem jej kuzynką. I dzięki temu ja się tam dostałam. Potem ja wyjaśniłam to wszystko, bo kiedy przyszła ^{grupa} /NKWD/ druga ~~partia~~ /zapowiedziałam jej, że ja przecież nie jestem kuzynką wcale, tylko robotnicą i lokatorką. Zobaczyli mój przydział na chleb, i to, i wypisali kartkę, że ja zostaję, zresztą, że obie zostajemy. Ja chodziłam bardzo wcześnie do pracy, chyba na siódmą, chciałam tego dnia bardzo wcześnie wyjść z domu, chyba o trzeciej czy czwartej, i gdybym to zrobiła, uniknęłabym tej długiej wycieczki krajoznawczej. Ale dostałam akurat biegunki, czterech żołnierzy stało, jak ja przechodziłam do ubikacji i ona mówi: pani taka strasznie zmęczona, nie spała pani w ogóle - bo tej nocy w ogóle nie mogłam zasnąć to była noc na 13 kwietnia, bo oni przychodzili w nocy i nasłuchiwało się ciągle, takie były dźwięki tych jakichś samochodów - żeby nie wychodziła i została, tego dnia żeby nie poszła do pracy, że mnie to uwzględnią. Przyszła druga ekipa enkawudystów, nie honorowała tej kartki, że my tu zostajemy, powiedzieli: bystro,

bystro, dawaj z wieszczami. I tyle.

Nic prawie nie zabrałam! Zabierali z sąsiedniego pokoju najpierw starego generała z żoną ~~stauszka~~, ta pani zapytała, czy nie mamy chleba, zapytałam tę starą panią, a ona powiedziała: oczywiście, proszę oddać. Oddałam ten chleb i myśmy wyjechały zupełnie bez chleba. Była służąca z córką, ta córka zdaje mi się miała jakieś kontakty z tymi Rosjanami, młoda dziewczyna, ona nic oczywiście nie mogła pomóc. Byli przyzwoici ci Rosjanie, bo mówili cały czas: bierz wszystko, co można, zabieraj wszystko! Pytałam, dokąd my pojedziemy? Jej pani powiedzieli, że jedziemy tam, gdzie jest jej zięć, wiedzieli zresztą oczywiście wszystko o nim. Ponoć zawsze wszystko wiedzieli o warunkach tam, gdzie szki po tych spisanych na listach do wywiezienia i bardzo często ~~tymi~~ informatorami byli dozorczy, niestety.

Jak siedział jeszcze ten prezes sądu, Stanisław Dębicki, mam jego dokumenty i tej pani. Nigdy nie mówi się o tym, że w Katyniu zginęli sędownicy, bo on pisał ^{kontrowersyjnie} kartki, które też mam, też dokument, pisał: siedzę w pokoju z kolegami z sądu, i to były kartki ze Starobielska. Mam dotychczas te 3 kartki.

Potem dowiedziałam ^o ze swoich doświadczeń więziennych, jak to mogło być. Kiedyś ^{przyszła}, przed 13 kwietnia, od niego depesza, nie kartka wyjątkowo: nie przysyłać paczek ani pieniędzy. Więc ta pani prosiła, żebym poszła do innych sędowników, znajomych i przyjaciół jego i zawiadomiła. Byłam w paru domach i ^{po} powiedzieli mi, że otrzymali też te same depesze. Identycznej treści. ^{Tamci} więc wiedzieli, że ich wywożą. Ale potem ^{po} myślałam, sądząc z własnych doświadczeń, że zawsze zdarzają się dobrzy ludzie i życiwi. Prawdopodobnie ^{Sędownicy} dali komuś adresy i on wysłał depesze.

W czasie, kiedy ^{Dębicki} siedział jeszcze we Lwowie, bo go aresztowali od razu pierwszego dnia po wejściu, miałam dyżur w szpitalu, i jak wróciłam ze szpitala, otworzyła drzwi ^{służąca} jego żona i powiedziała: pana zabrali.

O ósmej z rana. A potem inna pani znajoma opowiadała mi, która wróciła z ^{miłymi} Kijowa do Lwowa, że jej męża, który był prezesem Koła Polaków w Kijowie zabrano tak samo z rana, a on już w Kijowie pracował jako krawiec i nawet nieźle miał się materialnie. I oni wiedzieli o nim wszystko, że on ~~pojechał~~ w ostatnim transporcie z Kijowa do Lwowa, bo potem lista była zamknięta i więcej Polaków nie mogło wrócić. Tych, którzy zdążyli się jeszcze ewakuować do Polski.

Prawdopodobnie podane były adresy i ktoś z tych porządnych ludzi wysłał te depeze.

Zabrałam ze sobą poduszkę, kołdrę, nie wiem, jakieś prześcieradło zdaje się, bo pędzili, jak najszybciej. Nie miałyśmy oczywiście już chleba. I ta kartka nie była już ważna.

Tę panią zabrano, a ponieważ ona nie mogła chodzić, wyniesiono ją do ciężarówki w fotelu. ^{Przez} ~~Be~~ trzy dni stałyśmy w wagonie, niektórym, kiedy wychodzono po wodę, udało się uciec, nie wrócili, poszli po wodę i nie wrócili; ~~raz~~ raz czy dwa razy dziennie pozwalali po wodę wyjść z tego wagonu. Na narach w wagonie leżeli ludzie jak śledzie, jeden koło drugiego, mężczyźni i kobiety. My trafiłyśmy okropnie, bo nas ostatnie wtłoczono do tego wagonu, ~~bo~~ nad tą dziurą pośrodku, bo nie było ubikacji. Ja na tych tobołach na podłodze, ona jakoś tam, można było tylko oprzeć się o te toboły, ~~nie~~ ^{nie} położyć się i tak przez trzy tygodnie jechałyśmy. Parę razy dawano nam ~~wyjąć~~ ~~praxxaxx~~ jakąś zupę, a tak ^{to} tylko wodę, bo w Rosji to ten kipiatak jest, wrzątek.

Nie mogłam uciec jak inni, bo przecież była ta stara pani, nawet miałam okazję, ale zostawić ją w takich warunkach, to nieludzkie się ^{do} wy~~awa~~ło.

Dojechaliśmy do stacji Dżenges Toebe w Kazachstanie, takie „o” umlaut, Semipałatyńska obłast, Kokpektyński rejon po kazachsku. Semipałatyńsk to po kazachsku znaczy Nowy Semipałatyńsk /?/

Po paru dniach fotografowano nas. ^a pani przeżyła tę podróż.

Jechaliśmy trzy doby przez step, ~~na~~ bykach były bagaże i ludzie, ^{ach} na wozy ^{ych} zaprzężone w woły, ^{ale} wszyscy mówili byki.

↳ Dżenges Toebe to była stacja kolejowa, 180 km od Kokpekty, od tego rejonu gdzie nas wywieziono, a więc 180 km do najbliższej stacji, wygodnie, żebyśmy nie uciekali. Do Kokpekty mieliśmy kilkanaście kilometrów i parę razy jeździliśmy. To był sowchoz, tzw. miasokombinat, czyli kombinat mięsny. To było kilkanaście lepianek, gdzie rozbijaliśmy głowy o drzwi, jak biegliśmy i zapominaliśmy, że trzeba się schylić, płaskie dachy. Lepianki były robione z takich ogromnych samanów, cegieł, które potem robiliśmy właśnie. Step jest nagi, krajobraz okropny, dookoła ~~pani~~ ^{sy} widzi tylko wrzodziaste góry, jak w więzieniu, nic innego nie widać, wzgórze jak wrzody, wulkaniczne jakby, patrzyło się na to jak na wrzody ziemi. Człowiek był tym otoczony jak ostrokołem.

Oprócz lepianek były stajnie wielbłądzie i barany, ileś tam tysięcy baranów, i ileś tam wielbłądów. Ludność była kazachska, koczownicza, ~~tak~~ ^a wiosną opadło olbrzymie morze tych roztopów w stepach, bo lepianki były zasypywane z dachem w zimie. Ktoś, kto pierwszy wyszedł, robił dróżkę i chodziło się jakby w tunelu od jednej do drugiej, ja już tego nie widziałam, ~~już~~ siedziałam już wtedy w więzieniu. Ludzie topili śnieg na wodę, można sobie wyobrazić warunki higieniczne, kiedy wszyscy leżeli na tym klepisku, jedno koło drugiego nie było żadnej ubikacji, ani się umyć załatwiało się w tej lepiance, a ^{e/} asanizacyjne sprawy latem załatwiały psy. Mieli przepiękne psy, takie rasowe, z miękką sierścią, myśliwskie, których używali do polowania.

Przyjechaliśmy na początku maja. Woda już wtedy opadła, kwiatów żadnych nie było w tych stepach, bo potem jak wracałam,

widziałam na tej Ługawoj, ogromne łąki, Ługawaja się to nazywało tam wojsko polskie organizowało się, ogromne łąki i jak jechaliśmy też na wiosnę, widziałam pierwszy raz kwiaty, olbrzymie tulipany, ogromne, na bardzo krótkich łodyżkach, wyglądały jakby siedziały w trawie, położone.

Wysadzili nas z tych wozów, kazali rozlokować się, a potem zaraz przyszedł brygadier i zaczęła się praca. Musieliśmy oczyszczać stajnie wielbłądów. Nawóz trzeba było usunąć, a było go dużo. Otwierali stajnie na oścież, bydło koczowało z nimi w lecie, zostawał jeden do pilnowania ludzi, brygadier, Bydło, które tam jeszcze zostało, czy na początku, nie pamiętam.

Wielbłądów już nie było, były te byki, ale jakieś mniejsze niż nasze woły, może inna rasa. Tam materiałem budowlanym i wszelakim są te odchody bydłece. To jest okropne, maluje się właśnie tym te lepianki wewnątrz, ^{kobiety} ~~one~~ rękami zbierają to, ~~tak~~ podstawiają, jak on chce się załatwić, w ręce, i to wlewa się do wiaderka, żadnych nie ma ³ ¹ ² narzędzi. To była dezynfekcja stajni, kazali nam te stajnie tym właśnie czyścić. Parę osób zaczęło wymiotować, wybiegły na zewnątrz. Potem przyjechało NKWD i mnie i jedną dziewczynę aresztowali, powiedzieli, że ja zbuntowałam brygadę, że nie chciałam ~~pracować~~ ^{praca}. To było na samym początku, jeszcze nie umiałam wtedy mówić, potem nauczyłam się trochę. Tłumaczyłam im, że nie zbuntowałam, tylko one zachorowały od tego. A brygadier powiedział: nasze kobiety to robią i wy też musicie to robić. Ja mówię: ale my jesteśmy nieprzyzwyczajone, jest upał i zaduch okropny i my nie możemy tego robić, widzisz, że one wymiotują. Mnie i tę dziewczynę NKWD załadowało na, nie pamiętam, czy to wóz był czy do auta i zawieziono ^{do} na sąd. Wszyscy nas z płaczem żegnali, jakbyśmy

były skazane na śmierć. Kiedy odbywał się ten sąd, sędzia kazał mi mówić, co robiliśmy, to ja mu pokazywałam, na nigi, - bo nie umiałam, że kazano na to zbierać do wiader i że niektórzy nie mogli. Oni nie rozumieli, dla nich to była zwyczajna rzecz. Byliśmy skazane na trzy miesiące pracy bez zapłaty. Zapłata wynosiła tyle, że za te trzy miesiące mogłam kupić może kilo masła. Nic nie chciano nam zresztą sprzedawać za pieniądze. Na przykład, jajek, bo tam nic innego nie można kupić, jajka, mleko, żadnej mąki. Oni robili takie okrągłe placki, które piekli w takich dwóch patelniczkach na tym rozżarzonej palenisku z tych „renklodów” wielbłądzich. Więc myśmy to zbierali na opał, ~~ale potem już tego nie było~~ one są okrągłe, łatwo wysychają, a potem były te kiziaki tak zwane. Też z nawozu, z tych, z gliny. Pełno tam rośnie w stepach, ale tylko gdzieniegdzie, bo tam ziemia jest strasznie nieurodzajna, tylko glina i wapno, w niektórych miejscach spękana kawałami takimi, kawałami wielkości pokoju. Tam rosną tylko te krzaczki, karagan, małe listki i olbrzymie kolce i to się ścina na opał. To nam też kazano robić. Te kiziaki, te cegły, to wszystko jest pełne tych koluchów z karaganów, kiedy trzeba było glinę nalewać i miesić z tym nawozem, nawóz był pełen tych kolców, raniło się nogi przede wszystkim, bo my pracowaliśmy zamiast tych wołów, miesiliśmy tę mieszankę po kolana w zimnej wodzie; pokaleczone nogi, wrzody, zwłaszcza u dzieci, takie trudno gojące się rany.

Tam byli Polacy, żony policjantów i oficerów, albo coś takiego jak ja. Nazwisk mało pamiętam. Była np. pani Maślankowa, dwie panie Maślankowe, jedna w Wilnie została, a druga tu mieszka w Warszawie.

Pracowaliśmy od rana, między siódmą a ósmą przychodził brygadier i pędził do roboty do zmierzchu. Przerwa jakaś

była na obiad, którego nie zdążaliśmy zrobić. Jedynym ciepłym posiłkiem była kolacja. W lepiankach nie było żadnych kuchenek. Oni mają tylko takie podniesienie, na którym jest taka olbrzymia metalowa misa, w której pierze się bieliznę, kąpie dzieci, i jednocześnie robią w tym z pszennej mąki lepioszki, placuszki, które na tych patelniach w gorącym, rozpalonym nawozie piekło się. Najpierw rozpala się nawóz, potem kładzie się patelni i zasypuje się tym nawozem i piecze się. Pszenna mąka jest bardzo dobra, to jestk bardzo dobre, mąka grubo mielona, te placki prząsne, bez tłuszczu, bez niczego. Albo ~~pi~~ smażą w tejże ogromnej misie boursak, inaczej bursak, małeńkie kawalczki tego ciasta usmażone w baraním tłuszczu. To nam smakowało, ale to było strasznie ciężkostrawne. Oni robią tego dużo na zimę i trzymają w worach, a jedzą szalenie mało, przyzwyczajeni do mięsa baraniego. Każdy ^{tu} ~~tu~~ baj miał masę bydła, baranów, tysiące, których już nawet nie liczył, i wielbłądów, wypędzane w stopy, a potem to się zlikwidowało. Nazwiska właśnie kończą się tam na -baj, ~~ci gospodarze mieli~~, bo gospodarz to baj. Rosjanie ^{tam} ~~to~~ przyklepili sztucznie, jak zrusyfikowali, na przykład ^{był} Kutkumbaj ^{go} ~~to~~ zrobili Kutkumbajew, czy jeszcze jakoś inaczej, tak jak teraz używa się u nas tych nazwisk kobiecych, np. pani Kuc w męskiej formie.

W lepiance mieszkało jakieś kilkanaście osób, ile się zmieściło, ~~gł~~ jak w więzieniu na narach, trzeba było leżeć raczej bokiem, bo jak przewracało się, to razem wszyscy, mężczyźni, kobiety, wszystko jedno, przydzielili tyle osób tu, tyle tu, ile się zmieściło.

Żeby gotować, trzeba było mieć żelazny garnek z pokrywą, żeby go stawiać na rozpalonym ognisku, chociaż zagotować wodę na herbatę. Jedyną potrawą, jaką potem robiliśmy, była zacierka z mąki grubo mielonej. Kupowaliśmy mleko czy masła troszkę

i to było jedyne pożywienie, można było jajko ugotować, ale to wszystko w tym jednym garnku. Jak oni radzili sobie zimą, to ja już nie wiem, to było straszne.

Po ^oczyszczeniu stajni, latem pędzono nas do pielienia owsa. Owies rósł do kolan, w tych miejscach, gdzie było trochę wody. Wodę czerpało się z takiej studni, bardzo głębokiej, wpuszczano się na długim sznurze wiadro, a później nie było wody, bo wysychało; ten strumień, w którym można było się kąpać, bo był taki, wysychał, przechodziło się suchą nogą, wody ^{było} tylko ^{tylko} ~~to~~ co zostało ze śniegu, a potem to już nie wiem, bo mnie nie było. Niektórym udało się dostać do miasta, jakąś pracę, przyjechało kiedyś NKWD i wybierali, on przyszedł do mnie i mówi: czy to prawda, że ty skończyłaś wyższe studia? Tak. No to może ja ciebie zabiorę do Kokpekty, tam do tego rejonu, bo ja mam 4 małych dzieci, ty będziesz te dzieci niańczyć. Ale zanim ~~by~~ przyjechał po mnie, to ja już byłam w więzieniu.

Pewna młoda para wyjechała najpierw, taki chłopak z dziewczyną z ~~jeden~~ lepizanki, do Lwowa. Namawiali mnie, żebym z nimi poszła. Gdybym poszła z nimi, to bym się uratowała, bo oni doszli do Lwowa. Przyszła od nich depesza o umówionej treści i matka ich wiedziała, że oni doszli. Ja nie chciałam, krępowalam się, bo wiedziałam, że ta starsza pani leżała na tej glinianej podłodze. Strasznie chciałyśmy coś dostać, prosiłam, żeby zdobyli taki garnek i jeden z tych woźniców, którzy nas wieźli... Zresztą wtedy na wozach leżeli tylko ci starsi ludzie, a młodzi musieli iść, całe 180 km. W nocy leżeliśmy na stepie, na gołej ziemi, a starsi spali na wozie. Tam obłaziły nas okropne kleszcze, które wpijały się, trudno było je wyjąć, trzeba było je polać naftą czy ^{olejem} olejem. I jak leżeliśmy, był szron, choć to był maj. Więc na płaszcach, jak giałam takie wiatrem podszyte źrebaki, tak się leżało.

Trochę zdrowia wtedy właśnie potraciło się.

X Wiadomo było, że na jesień trzeba było mieć, mówili nam Kazacy, Kazachowie właściwie, że trzeba aż do wiosny kupić mąki, a na to nie było, za co, ^{nie było na} Was absolutnie ~~stać~~, parę worków. Nawet nie wiem, jak oni to potem robili. Wtedy ja postanowiłam, że pójdę, a ona jakoś wytrzyma. Ona miała trochę biżuterii. Postanowiłam pójść do Lwowa, wyjaśnić, że mnie wzięto bezpodstawnie, nie uważałam tego za ucieczkę, zwłaszcza, że musiałam za wszystko płacić, powiedziałam to potem na sądzie. Mało mnie on nie rozerwał za to. Tak zdecydowałyśmy, ona straszliwie była załamana, ale ja innego wyjścia nie widziałam, i jeszcze jak pomyślałam, jak my tu będziemy keżeli wszyscy w zimie na podłodze, na gołym, więc chciałam jej zdobyć parę desek. ~~Te~~ parę desek, jednak bardzo porządny był ten woźnica; powiedział: musisz mieć taki garnek, bo bez tego zdochniesz. Oni nie mówili umrzesz, tylko zdochniesz. Ja mówię, to przywieź ten garnek, do wody. Myśmy nie mieli żadnego naczynia, tylko kubeczek. Dałyśmy mu jakiś prezent, coś z ubrania, bardzo się ucieszył, bo z ubraniami tam było bardzo źle i handel był tylko za ubrania, nie chcieli pieniędzy. Zwłaszcza kolorowe jakieś ubrania, ja miałam taki kolrowy szlafroczek w kwiaty, więc mnie wszystkie Kazaszki szarpały, sprzedaj, sto rublej dam, a 100 rubli to było bardzo dużo, duża suma. Nie sprzedalam, chodziłam tylko w tym w czasie upału. W ogóle wychodziło się tylko wuj jakiejś koszuli. Upał był koszmarny. Jak szłyśmy do roboty, był szron i mróz, a ~~jeż~~ w południe, to się chciało zrzucić ze siebie koszulę, pot lał się straszliwy, nie było wyjścia, trzeba było pracować.

Owieś. Pędzili nas kilka kilometrów piechotą, jak zobaczyliśmy ten owies, to było zabawne. Owies był do kolan, a w owsie trzeba było pleć dzikie mimozy, przepiękne, tylko bardzo drobne, pachnące. I my rwaliśmy te kwiaty. Oni krzyczeli, ja chciałam

trochę kwiatów zanieść tej starszej pani, śmiali się. Przyjechał konno ten i mówi: co ty robisz? Zrywam kwiaty dla babuszki. On konno przyjechał, podałam mu: daj to tej babuszce. Takie zielisko? Dałam mu ten bukiet dzikiej mimozy. Do tej pory żadnych kwiatów tam nie widzieliśmy, tak samo jak żadnych owoców. Pełniłyśmy kilka czy kilkanaście dni ten owies, to była właściwie taka próżna robota. Ciężką pracą było robienie tych sianów, trzeba było nawóz wylewać na tę glinę, wywoziło się nawóz ze stajni. Stajnie otwierano, ta warstwa wysychała i dawano nam łomy, ~~zaby~~ to pękało wszystkim, trzeba było w parę osób podnieść taki płat i wyrzucać na zewnątrz, a potem układać w stosy przewiewne, jak kiziaki, z przerwami. To był budulec i opał, i opałem był ten nawóz. To były stajnie Augiasza, to się zbierało przez parę lat warstwami, suszyło przez kilka miesięcy i stopniowo wynosiło. Było bardzo ciężkie, bo podnosiło to parę osób, a wydawało się, że się wszystko wyrywa w brzuchu od tego ciężaru.

Ta pani miała biżuterię, sprzedawała po trochu, przyjeżdżali jacyś kierowcy, czy jacyś inżynierowie. To było bardzo przykre, bo oni dawali strasznie mało, bo mówili, że brylantik nie liczy się, tylko złoto ważne. Ci ludzie u nas tam pozbywali się, w stepie było 180 km, trzeba było jechać, żeby kupić białej mąki, czy coś w tym Dżenges Toebe. Trzeba było 18 km iść piechotą, jak było dziecko chore, chodziliśmy. Tam były takie dwie Żydówki, młode, które miały małe dzieci i te dzieci były całe chore od tego brudu, niekapane, ja chodziłam z nimi, pomagałam, jak trzeba było przez strumień przynieść dziecko. O osiemnaście km był kołchoz, a w kołchozie był lekarz, żeby te dzieci lekarz obejrzał. Nieśliśmy te dzieci w tym upale. Sprawa leczenia to było coś okropnego.

Żeby sprzedać biżuterię, można ją było zawieźć do złotoskupki, do jakiegoś miasta, czy może w tych Kokpektynach, nie wiem, bo nie miałam żadnej biżuterii. Tam wykuskiwali kamienie, bo kamieni nie przyjmowano, tylko złoto. Za to dawali mąkę, czy ryż, coś z żywności. Opowiadały tam panie, że bardzo często zdarzało się, że jemu ten brylancik czy szafir wyskoczył i nie mogli znaleźć i gineło. Bardzo niesympatyczne. Ci inżynierowie, co kupowali, to też. Ale byli i ludzie bardzo dobrzy, którzy starali się pomóc.

Sprzedawałam poduszkę, bardzo cenną, puchową i kołdrę krytą obustronnie adamaszkiem, to bardzo cenili, coś tam jeszcze może miałam, ale nie pamiętam. Dostałam za to wszystko sto z czemś rubli, to było dużo, za to miałam się wyżywić przez całą podróż. Wysyłali nas po chleb o 18 km do rejonu, toż był kłopot. Jak się pracowało, wydawali chleb, a jak się nie pracowało - to nie. Ja! dostałam przez 3 dni zapalenia stawów i nie mogłam się podnieść, zwłaszcza do takiej pracy w deptaniu gliny; jak przychodziłiśmy, to na tej ^{sadzawce} ~~kawce~~ była warstwa lodu. Taką sadzawkę musieliśmy też sami wykopać łomami. Oni nie mają o niczym zielonego pojęcia. Jak kazał bielić tym - a ja mówię, a czym mamy nabierać ten nawóz, przecież nie dali nam nawet żadnych pędzli, nic, a on mówi, żeby z tych karaganów narwać gałęzi, z tymi kolcami. Są tylko jeszcze wysokie, ostre jak nóż trawy, które mogą jeść tylko wielbłądy. To kłuje jak róża, listeczki grube, malusieńkie, a ~~z~~ kłuje strasznie. Dobra gospodynie co tydzień smaruje glinianą podłogę gliną rozpuszczoną z nawozem, z wodą, ręką ona to smaruje, a upał jak piekło wysusza to; to się nazywają elegancko wyfroterowana podłoga, na której w dodatku śpią wszyscy. Jest zazwyczaj tylko jedno łóżko, żadnych mebli, czasem radyjko. Na tym jednym łóżku ustawiają na dzień piramidę poduszek, zaścielają, a latem mieszkają w jurtech, w dużych szałasach. Mieli tam nawet

piękne, perskie dywany, to wszystko na tym g..., w takich warunkach.

X Chleb przywozili z tego rejomu i wydawano w małej lepiance. Nie pamiętam, ile na osobę. Ja musiałam dzielić się swoją porcją z tą panią, bo ona leżała i nie dostawała nic, a jak trzy dni nie pracowałam, nie miałyśmy nic obie. Z tym był kłopot. Stosunek władz do ludzi był okropny; a ^{stosunek} ~~ich~~ samych do zwierząt, ^{też,} na przykład psy nie były karmione, tylko zjadały ludzkie odchody. Tylko to. A to były tak piękne charty. Okrutni byli nie tylko w stosunku do psów. Jak wyjeżdżali, zamykali te wszystkie lepianki, w lepiance okien nie było, tylko kawałek szybki w jednym miejscu, dach płaski, pokyty gałęziami i posmarowany gliną. Jak wiała, gdy chorowały na świerzb, przyjeżdżał weterynarz, one czochrwały się o te lepianki, lepianka trzęsła się aż, kiedyś obudziłam się, myślałam, że to trzęsienie ziemi.

Więc kiedy tamta pani dostała depeczę o tym, że jej dzieci dotarły do Lwowa, zaczęłam sama o tym myśleć. ~~Wtedy~~ Wtedy byłam już bosa, zbliżała się zima. Buty, które miałam, zniszczyły się przy pracy i tych osiemnastokilometrowych chodzeniach. Byłam bosa. Była taka stara pielęgniarzka, pani Krupowa. Ona tu się znalazła ze starą hrabiną ze Lwowa, którą wywieźli też chotą, leżącą. I ta pielęgniarzka, stara kobieta, poświęciła się i pojechała wraz z nią. Można sobie wyobrazić stan tej obłożnie chorej starej pani po 30-dniowej podróży w wagonie w takich warunkach, i jak przyjechałyśmy, to na 3 ^{-ci} czy 4 dzień musiałyśmy kopać grób. Dali nam łomy i powiedzieli gdzie, to ~~krwawo~~ kopali mężczyźni wszyscy, i wszyscy co mogli, kopali tymi łomami, tylko metr i to nie wiem, czy cały, bo to była ~~ta~~ ziemia zupełnie jak skała, ~~to ona jest~~ tylko z gliny, z wapna, a w niektórych miejscach te spękane kawały olbrzymie. Kiedyś patrzę, coś takiego białego na tym spękaniu, marzyło się o cukrze, myślę, może to coś słodkiego, bo wyglądało jak cukier, w każdym razie

chciałam spróbować, jakby puder. A to była sól, występuje ona z ziemi na ~~g~~ tych gołych płachtach ziemi, gdzie nic nie rośnie. To co na tej ziemi może wyrosnąć? Pewnie tam kiedyś było dno morza olbrzymie.

Mowy nie było, żeby iść bosy. Powiedziałam brygadierowi, że muszę pojechać do lekarza, bo chorowałam. On powiedział zarządzającemu ~~by~~ sowchozem, że ja pojedę do Kokpekty do rejonu, do lekarza. Ta stara piekęgniarka chciała jechać do Lwowa ~~z~~ ze mną, namawiała mnie też do tej podróży, ona dobrze знаła ukraiński i uważała, że jak dojedzie do Kijowa, będzie już w domu. Chciałyśmy wyjechać we dwie. Ona pożyczyła mi jakiś męskie, za duże półbuty i płaszcz po tej jej pani, bo ja nie mogłam iść w tych moich źrebakach, ~~by~~ zwracałam w nich uwagę. Na głowę pożycz mi ktoś kawałek fartucha w kwiaty, perkaloweg~~o~~ czy coś, do dziś mam jego kawałek, ~~nie~~ mogłam go sobie zawiązać jak chusteczkę pod brodę. ~~W plecaku, był~~ Walizkę czarną lakierowaną, z jasną skórą na brzegach, sprzedałam, zwracał~~by~~by też uwagę, więc uszyłam prowizoryczny plecak, i tam wsadziłam swoje źrebaki i zawiązałam szmatę pod brodą, bo nie mam takiej rosyjskiej twarzy i zwracałam uwagę na siebie.

Pojechałyśmy do Kokpekty z jakimś Kazachem, z Kokpekty znalazłyśmy takiego, ~~co~~ jechał do Dżehges Toebe, auto, czy coś, już nie pamiętam. I on dowiózł nas do tej stacji kolejowej. Ze stacji dalej jechałyśmy statkiem po Irtyszu przez 4 dni.

Na statku miałam niedobre przygody, bo mimo tej chustki przyuważył mnie jakiś Ukraińiec, obserwował mnie wiecznie. Kiedy zatrzymaliśmy się gdzieś, ~~te~~ po drodze były osiedla zamieszkałe też przez Polaków. I on powiedział, że tu jest jakaś Polka, która wraca do Lwowa. Było trochę wypadków takich, że ktoś wrócił. Ja, ponieważ byłam wywieziona bezpodstawnie, też składałam podanie, wysłałam do Kremla na takim kawałeczku papieru w trójkę złożone-

dostałam,
go i nawet ~~nam~~ odpowiedź, ale niestety nie mam tego, bo zniszczyłam jak wyjeżdżałam, nie wszystko, ale to było zniszczone. Dostałam na takim małym druczku: "żałoba priniata" - skarga przyjęta, krągła pieczęć, z okrągłą pieczęcią kremłowską. Czyli że wpłynęła, ^{ale} bez odpowiedzi. Było tak czasami, że jednak ludzie wracali, bo spotkałam takich, to pewnie zależało od władz miejscowych. I kiedy leżałam w Nowosybirsku w więzieniu, do celi wepchnięto tak niefortunnie z tego wagonu, przy kuble, na tych moich źrebaczkach, podłożyłam sobie na podłodze... Była tam pewna Niemka. Okazało się, że ona dowiedziała się, że ja trochę znam niemiecki, była szczęśliwa, że może porozmawiać. To była Maria Fridiger, która na konnych zawodach na Olimpiadzie w Berlinie ^(1936 r.) zdobyła I miejsce i miała potem jechać do Tokio na jakieś chyba zawody, i mówiła: widzi pani, jaki to jest los? Miałam zimę spędzić w Nowosybirsku, i spędzam, ale w innych niż miałam warunkach.

We dwie płynęłyśmy tym statkiem, 4 dni. Ta pielęgniarka udawała głuchą, jeżeli coś mówiliśmy, to bardzo cicho, ale wiedziałam, że ktoś mi się przygląda. Ten Ukrainiec powiedział komuś z Polaków na brzegu, że tu jadą Polki pewnie, jedna może Ukrainka głuchawa, ale jest i Polka, i ona wraca jako wolny człowiek z Semipalatyńskiej obłosti. Ja gdzieś przycupnęłam na tym statku, nagle wpadają jakieś Polki i podchodzą do mnie, a ten Ukrainiec stoi obok i na mnie patrzy. I one mówią: proszę pani, czy to prawda, że pani była wywieziona, a teraz wraca pani ~~do tego~~ ^(zwiedzić) do Lwowa? ■ A mnie ścisnęło się serce, słowa nie mogłam, czułam się... wreszcie powiedziałam: nie ponimaju. Ja was nie ponimaju.

I one odeszły. Zrozumiały może. A ten stał i patrzył. Coś straszego, jaki podły człowiek. To była bardzo przykra przygoda.

I on już dok końca podróży stale mnie obserwował. Po czterech dniach przyjechaliśmy do Nowosybirska i starałam się dostać biletu na pociąg. Strasznie trudno było kupić bilety, ludzie czekali dni i noce. ~~Tym~~ Kilka nocy trzeba było stać, ja musiałam stać i chodzić, a ona poszła do parku gdzieś przed dworcem. W nocy nie wolno było być ~~mani~~ na dworcu ani jak się okazało, na chodniku nigdzie, milicja przepędzała, ani tu ani tam, a po biletach parę dni trzeba stać w kolejce. Najczęściej jest tam tak, że wyznaczona kasa ogłasza, ile jest wolnych miejsc siedzących do sprzedania, jak pociąg nadchodzi. Sprzedają tylko siedzące, potem kasę zamykają i od nowa stoi się w ogonku. Stałam tak zdaje się 3 noce.

W tym ogonku miałam taką przygodę: ~~przygoda~~ Stoję w tym ~~pa-~~ szczu, a to był wiedeński płaszcz, wspaniała podszewka, ale na mnie wisiał jak na kijku, w tych męskich półbutach, w kawałku czerwonej kwiecistej szmaty na głowie. Podchodzi do mnie dwóch młodych ludzi z jakimś chłopaczkiem, może 12-letnim. Stoją obok i słyszę: popatrz, ta w tej czerwonej chustce na głowie to na pewno Polka. Ja nie odzywam się, ~~xxk~~ ale oni do mnie ^d pochodzą. Proszę pani, skąd pani jedzie, czy pani jest ze ~~lwwa~~ Lwowa, czy z Wilna? Ja mówię, że nie rozumiem. Proszę pani, niech pani się nie boi nas, przecież pani jest Polką, na pewno, my wracamy. I ten chłopaczek ^{też} mówi, przekonał mnie, my wracamy z robót, tu byliśmy wysłani na roboty w Wilna i jedziemy do Wilna. Mamy dokument na nabycie jakichś produktów w czasie drogi. A ja z tym małym bratem jadę, bo coś się stało, że on wyjechał razem z małym bratem nie mógł go zostawić. To mnie przekonało. A gdzie pani wraca? Ja mówię: w Wilnie skończyłam studia, a we Lwowie pracowałam, tam mieszkam. On na to: niech pani jedzie z nami, my panią

zabierzemy, wykupimy pani bilet, ale niech pani jedzie z nami. Ale ja mówię, że mną jest ta stara pani. On obejrzał ją, ja opowiedziałam mu tę historię, że ona koniecznie chce do Kijowa, bo tam będzie jak w domu. On powiedział: my jej kupimy bilet do Kijowa, ale jej nie weźmiemy, nie możemy, tylko panią. Niech ona jedzie do Kijowa, a pani z nami do Wilna, bo z Mińska my jedziemy do Wilna. Rozterkę miałam straszliwą, a ona poszła na pierwszy targ i ją okradli. Te sto jej rubli jej ukradli. Ona nakupowała jakichś cukierków, słodczy, niepotrzebnych zupełnie rzeczy, bez których mogłyśmy obejść się i już miałyśmy tylko te moje sto rubli. To jak ja mogłam ją zostawić?

Sto rubli to niby było dużo, ale jeszcze miałyśmy daleką drogę. Nie chciała połowy pieniędzy i samodzielnej podróży, chciała, żeby ją ~~dojechać~~ do Kijowa. Tak. No, trzeba było, ale wyszło inaczej. Nie zdecydowałam się na ich propozycję i potem, kiedy już wykupiłam bilety, okazało się, oni przyjechali jeszcze do mnie, bo im nie starczyło na ich troje pieniędzy, więc żeby mu pożyczyć. Oczywiście, byli z tym małym chłopcem, ^{my} nie mogłam im odmówić. I jeszcze wtedy strasznie mnie namawiali, żebym z nimi jechała.

Pojechaliśmy do Moskwy, a on chyba po tę pożyczkę zjawił się w Moskwie, bo jechaliśmy tym samym pociągiem. Oni z Moskwy kupili bilet bezpośrednio do Wilna, a my do Kijowa. Do Kijowa jeszcze można było kupować bilety bez niczego, a Kijów okazał się pułapką. To też mi opowiadała ta Maria Fridiger, że ją zabrali ze Lwowa, bo przyjechała do swoich przyjaciół we Lwowie i tam ją zabrali jako gościa, bo jak przyszli w nocy, zabierali wszystkich obecnych. Ją zabrali razem z tą rodziną. Ona miała ~~nadzwyczajną~~ ^{nieprawdopodobną} przygodę. W Moskwie ją nadzwyczajnie potraktowali, bo Niemka, nie znająca ^{woźnicą} języka, była zesłana na Ural i była ~~woźnicą~~ w tartaku, woziła drzewo. Uciekła stamtąd, pojechała, wykupiła sobie bilet, i gdzieś

ją... a nie, to było już jak ją złapali, była w więzieniu. I jak je ładowali do wagonu, to te psy. Bo jak pędzą więźniów, to się odbywa w nocy, i najpierw idą mężczyźni, potem kobiety, a za kobietami psy. Mężczyźni idą szybciej, kobiety wolniej, i te psy podpychają nosami te nieszczęsne kobiety, które nie mogą iść dostatecznie szybko. I ~~potem~~ jest taki proceder, że kiedy przypędzają w nocy nadworec, to żeby ludzie nie widzieli, tych więźniów odstawia się gdzieś daleko od dworca. I wtedy każą klękać, na kołana, w śnieg, błoto, wszystko jedno, i czeka się aż przyjdzie pociąg. Jak ja klęczałam w tym śniegu potem, to aż przymarzały mi kolana, to chce się choć jedno kolano oderwać, i podnosi się człowiek trochę i wtedy jak się ruszy, to od razu: a ty tam szto? podnimajesz się? na kalien! Człowiek wtedy ~~człowiek~~ czuje się tak strasznie poniżony. Czasem, jak nie podstawia tych wagonów dla zeków, dla tych więźniów, to pędzą z powrotem do więzienia i następnej nocy ta sama procedura.

X No więc pożyczyłam im pieniądze, ale nie pojechałam z nimi, ona była taka bezradna, znowu ją okradła^{wy}, nakupi cukierków, rozpuści te pieniądze i zostanie bezradna. Ona jak tylko zobaczyła ~~kupila~~ czapkę^x wojskową, to nie rozróżniała, czy to wojskowy, czy NKWD idzie i od razu uciekała. Jak stara kobieta biegnie, to od razu zwraca uwagę na siebie. ~~x~~ Potem, jak szliśmy przez Ukrainę, a ~~sziła~~ szłam już z odwagą rozpaczy, to nas parę razy nawet wojskowe auta podwiozły. Bo to są dobrzy ludzie.

W Moskwie była przesiadka. Obejrzałam z daleka Lenina sarkofag, to wszystko, myślałyśmy tylko żeby kupić bilety i jechać dalej. Żadnych przykrych przygód w Moskwie nie było.

Kupowanie biletów to była rozpacz, w każdym kierunku. I wtedy jeden z nich przyjechał po te pieniądze, jeszcze namawiał.

Oczywiście, pieniędzy nie mogli^{mi} już oddać, nie było okazji. Potem jeszcze raz przyjeżdżali błagać mnie, żeby jechać z nimi do Mińska i do Wilna, ale nie chciałam jej zostawić. Gdybym z nimi poszła... ale to już Kismet, jak mówią bracia Turcy...

Pojechałyśmy ostatecznie we dwie do Kijowa. I tu niespodzianka straszliwa. Kijów okazał się pułapką. Poprzednio można było kupować bilety z większymi czy mniejszymi trudnościami w kasie, a tu absolutnie to było niemożliwe bez zezwolenia NKWD. Jeszcze próbowałam pojechać do tantejszego jakby Orbisu, to samo, przy kasie po obu stronach stali milicjanci NKWD, zaglądali do dokumentów.

Powiedziałam do tej pani Krupowej: no i co teraz robimy? Tym bardziej, że ona została bez pieniędzy, jechałyśmy tylko na tych moich stu rublach. Kiedy stałam w ogonkach w Kijowie, to jeszcze taki młody Żyd przyczepił się do nas, bo usłyszał, że rozmawiamy po polsku. Podszedł i pyta skąd i dokąd, on jest z jakiejś tam obłosti Kustonajskiej czy jakoś tam, obok Semipałatyńskiej, ale też w takich warunkach jak my. Powiedział, że ~~we~~ pójdzie z nami. Okazało się, że i on jest bez grosza, tak że trzeba było kupować chleb dla 3 osób. Byłam przerażona.

Ale szliśmy z tego Kijowa piechotą. Zdecydowałam się normalnie ubrać, zdjęłam tę szmatę z głowy i włożyłam beret, poszłam do NKWD po przepustkę, może to jest możliwe, myślałam. Ponieważ widziałam, że tamci wracali jednak z tych robót, ~~co~~ co wyjechali na zarobek i teraz wracali, jak tych dwóch z małym chłopcem. Poszłam więc na NKWD i powiedziałam, że byłam na robotach tam i tam, oczywiście zmyślając, i że chcę wracać, bo na zimę nie mogę zostać boso i wracam do swojego rejonu. No i wtedy on ~~pr~~ wysłuchał mnie, na pewno nie uwierzył, bo oni nigdy nie wierzą, z zasady i kazał mi przyjść nazajutrz. Ja myślę, jak przyjdę

jutro, to od niego nie wyjdę. Zdecydowałyśmy więc, żeby wyjechać maksymalnie daleko podmiejskim pociągiem, bo to było wolno. Kupiłyśmy bilety i wszyscy troje wyjechaliśmy z Kijowa, a jak nie można było już inaczej, to szliśmy piechotą, w stronę Polski, żeby dostać się do Lwowa. Tak, jak mówiłam temu enkawudyście, że wywieziono mnie stamtąd bezpodstawnie i chcę to wyjaśnić. A przecież parę osób jednak wróciło stamtąd, wywiezionych jak ja przypadkiem.

Kłopotliwa była sprawa noclegu. Ta pani miała wspaniałe futro, ^{ale} ja cienkie futerko, więc ~~ja~~ nie mogłam nocować na dworze. A tam nie wolno nikogo przenocować bez zezwolenia NKWD. Więc gdzieś tam, gdzie nas przyjęto, nocowałyśmy bez zezwolenia, oczywiście płacąc. Ci Ukraińcy byli o wiele sympatyczniejsi niż nasi, oni pewnie domyślali się, jakie są nasze losy, zresztą ja powiedziałam jak zwykle, że chcę wyjaśnić sprawy we Lwowie, co było prawdą. Sprzedawali nam mleko, wskazywali drogę.

W czasie ostatniego noclegu ~~kiedy~~ już byliśmy blisko pasa granicznego. Pas graniczny przed wojną wynosił 10 km, a potem go powiększono do 50 km. I my przeszliśmy 40 km piechotą, a zostało nam 10, kiedy nas złapano. Dzięki tej pielęgniarce, która ciągle nie odróżniając czapek NKWD od innych wojskowych, jak tylko zobaczyła czapkę, zaczynała biec przed siebie, uciekać.

W ostatniej wsi ~~ja~~ jak zwykle poszłam zapytać o nocleg; ~~czy~~ ~~pas nie przenocują~~ u tych gospodarzy powiedziano nam, że przyjęliby nas, ale trzeba mieć kartę z NKWD, ale by nas przyjęli, bo jest z nami taka stara pani, tylko że wyjeżdżają gdzieś na wesele na tę noc i nie mogą. Poradzili, żeby gdzieś tam pójść dalej i wziąć zezwolenie na przenocowanie i pokazali, gdzie możemy dostać to zezwolenie, gdzie są miejscowe władze. Ja poeszłam do tego domu i zobaczyłam, że tam siedzi NKWD, ^{to} przeprowadzają paszportyzację w tej okolicy. Ale okazała się straszna rzecz - ktoś usłyszał

jak w tamtym domu prosiliśmy o nocleg, nie wiem kto i pobiegł właśnie zawiadomić, posłali siedmioletnie dziecko, że ktoś ~~był~~ pytał o nocleg. I nas zatrzymano, wyskoczyli milicjanci i nas zatrzymali. Powiedziałam im prawdę z tą częścią nieprawdy, że wracam, żeby wyjaśnić itd. Oni może mieli do czynienia z takimi wypadkami, a może nie chcieli sobie zawracać głowy, dali nam zezwolenie na nocleg. Milicja. Poszliśmy tam do dobrego gospodarza, Ukraińca, dostałyśmy mleko i wszystko, on też rozpytywał. W ogóle wszyscy mnie ciągle rozpytywali, nie miałam zupełnie tej rosyjskiej twarzy. Na przykład często nas zatrzymywali na drodze ~~ca~~ co tłuką kamienie i mówili: zadierżyties niemnożko, pogoworitie wy z Zapadnoj Ukrainy. Mimo tej chustki pod brodą, nawet.

Powiedziałyśmy gospodarzowi, że chcemy rano iść dalej, a on powiedział, że będzie nam trudno przejść, bo tam trzeba przejść przez most, a na moście po obu stronach są strażę. Żeby tylko nie było księżycy.

Okazał się przewidujący. Nie mógł nas wydać, bo przyszłyśmy do niego z kartką od milicji. Jak wychodził księżyc, to ja starałam się chować do rowu, bo dochodziłyśmy do torów. Kładłam się do rowu i mówiłam tej pani, że przecież w swoim futrze może trochę poleżeć. Niedaleko był duży punkt kolejowy, nie pamiętam jaka stacja, dużo torów, migotanie tych światełek wszędzie dookoła. Przed nami miał być jeszcze ten most, miałyśmy przejść do mostu.

Jednak do mostu nie doszłyśmy, bo okazało się, że te migające światła to byli strażnicy. Ona była dalekowiedzem i zobaczyła wielką latarkę z daleka, ostrzegła, że ktoś idzie z latarką. Ponieważ ona wiecznie straszyla, wzniesła fałszywe ślady, to zlekceważyłam to. A jeszcze ten Żyd, który szedł z nami, niósł moją małą walizeczkę, usiadł na tej walizeczce na samych torach. Powiedziałam: niechże pan zejdzkie przynajmniej z tej walizki,

przecież pan siedzi zupełnie tak jak na patelni, widać pana z daleka. I jak myśmy zobaczyli, kto idzie, to już było za późno, szedł już ten ze straży pogranicznej. Zatrzymał nas i zabrał do strażnicy. Powiedział: dokumenty, nie macie, idziemy. Nie było sensu uciekać, bo w tej strefie przygranicznej jest wiele psów.

Opowiadałam, jak leżałam w Więzieniu potem z tą Marią Fridiger, której takie psy wydarły cały kawał pośladka. Pies się na nią rzucił, wygryzł jej, ~~potem~~ potem leżała w szpitalu. Ona też próbowała przejść przez granicę.

On najpierw przyprowadził nas na stację, kazał nam siedzieć i poszedł. Ten młody Żyd wyszedł i mówi do mnie: proszę pani, nikogo nie ma; gdzieś po godzinie. Ja mówię: jak pan chce, niech pan idzie. Ale on też nie ryzykował, nie miał ani grosza, a ja miałam już resztki, bo utrzymywałam trzy osoby z moich pieniędzy.

Więc czekałyśmy, a potem przyjechali i zawieźli nas do straży wojskowej przygranicznej. Przewieźli nas przez granicę i na milicję. Zostawili nas na posterunku. To była główna granica polsko-radziecka, teraz po obu stronach byli Rosjanie, ale mimo to ten pas graniczny poszerzony do 50 km był utrzymany. Na posterunku najpierw wzięli tego młodego Żyda. Nie wiem, czy on coś powiedział temu naczelnikowi, czy co, ale puścili go wolno. Pytałam go: i co panu powiedzieli? Powiedzieli, żebym sobie szedł już. Pomyślałam sobie: chwała Bogu i pełna nadziei weszłam do tego naczelnika. On rozpytywał o wszystko, powiedziałam to co zawsze, a on powiedział mi, że jestem aresztowana, absolutnie w nic nie wierzył. Ja powiedziałam: łatwo sprawdzić, Lwów jest blisko, może pan zatelefonować. "Ani myślę dzwonić". Okropny był. Potem powiedział: niech pani nie płacze, czy coś takiego, zresztą, Polki tak ładnie płaczą. Sadysta jakiś, okropny.

Byłam tak zaskoczona, że ... Na szczęście nie rozplakałam się, ale łzy mi stanęły w oczach. Byłam tak pełna nadziei po tym, jak tamten wyszedł. Jej to samo powiedzieli. A co jemu powiedzieli, dlaczego go wypuścili, przecież on tak samo szedł jak my - to jest dla mnie nierozwiązaną zagadką.

Aresztowano więc nas - zostałyśmy na miejscu, nie pamiętam, jaka to była miejscowość, zapomniałam tych małych miejscowości. To był 20 października 1940 roku. To pamiętam. Jeszcze miałam parę czekoladek kupionych w Kijowie czy gdzieś, co ona kupiła. Myśmy do więzienia trafiły na stronie już polskiej, więc to było polskie więzienie. Jaka szłona różnica między więzieniami ^{polskimi} a rosyjskimi! W polskim była drewniana podłoga w celi, albo posadzka drewniana. Były umywalnie i wszystko, to było jak niebo i ziemia w porównaniu z rosyjskimi. W tamtych była goła podłoga, albo beton.

Po przejechaniu przez chyba 3 więzienia dowieziono mnie do Lwowa wreszcie, i do wybuchu wojny byłam we Lwowie.

Przez cały czas nikt mnie nie przesłuchiwał, tylko wprowadzali na spacer. Ja nie chciałam chodzić na spacer, to oni mnie wypytywali dlaczego. Najpierw siedziałyśmy we dwie, a potem nas rozdzielono. W nocy ciągle zagładałi przez judasza, to bardzo nieprzyjemne. Nie chciałam chodzić na spacer, bo bardzo przykre było przechodzenie przez korytarze - jeżeli idzie ktoś naprzeciwko, prowadzą drugiego więźnia, to trzeba stanąć plecami do nich a twarzą do ściany i stać dopóki nie przeprowadzą. A na spacerze to parę kroków ~~w~~ kółko z rękami do tyłu, kilka kółek w jedną stronę i w drugą. Chociaś dawało to trochę powietrza, ale nie chciałam.

X Więc najpierw byłam w celi z nią, a potem nas rozłączyli. Dali nam na początku trzecią. Tam były łóżka, w jednym były

sienniki, a niektórych były tylko gołe deski. Podłoga była malowana, drewniana. Utrzymywałyśmy wszystko w wielkiej czystości, bo zresztą nie było nic do roboty. Był piec żelazny, tam nauczyłam się prać chusteczki, na piecu je prasować. Ciągłe wymyślałyśmy sobie jakieś roboty, albo sobie opowiadałyśmy o czymś.

A ta stara pielęgniarka ciągle dostawała ataków furii, złości, bezsilnej złości. Ona mnie oskarżała o wszystko - to ona mnie namawiała przecież na ucieczkę, ona pożyczyła mi te męskie buty, sama nie znała rosyjskiego, ale ciągle mi zarzucała, że to ja jestem wszystkiemu winna. Ja przypominałam jej: przecież pani nie chciała się do tego rowu położyć, oczywiście, to ona zobaczyła z daleka te strażę, ale ponieważ przedtem ciągle były fałszywe alarmy, to... I ona tak mnie tym dręczyła, że ta jakaś Rosjanka w naszej celi powiedziała: jeżeli ty jej tutaj nie przestaniesz męczyć, to ja pójdę do naczelnika i powiem, że ją trujesz. Nastraszyła ją. I ta się uspokoiła, dopóki tanta z nami siedziała. A co się stało z ~~tamtym~~ ^{Zydem} nie wiem, poszedł wolny.

Ona chciała zresztą w momencie zatrzymania dać futro temu strażnikowi, przeraziła się, ale bał się, bo były trzy osoby, w cztery oczy byłyby może inaczej.

Jeść dawali tak: zaparzone liście brzozone w wodzie, i raz dziennie coś przynosili, jakąś lurę, i chleb. W śledztwie dostawało się 600 gramów bardzo dobrego chleba, dobrze wypieczonego. Więźniowie wazyli przydziały chleba. I było zabane ^w nawet - jeżeli porcja była zbyt mała, do dużego kawałka były doczepione małe kawałeczki takimi małe⁴ jak zapalki / patyczkami, wiedzieli, że tu każda zakażde 10 g chleba to jest coś. / okruszyna jest ważna. Po zasądzeniu dostawało się 400 g chleba. To trzeba było podzielić na 3 posiłki, ale większość osób nie wytrzymywała i zjadała natychmiast całość. Wszyscy byli stale bardzo głodni. Jak Fen z rana rozdawał, a budzili bardzo wcześnie,

bo musieli wszystkich zdążyć doprowadzić "na oprawku", do toalety, trzeba było wynieść ten kubeł i z powrotem. U nas po polskiej stronie były jeszcze ubikacje, a tam były 4 dziury, w tych więzieniach podszyberyjskich, strażnik stał dyżurny i trzeba było w 5 minut wszystko zrobić. Ludzie niektórzy mieli biegunkę, a ja ze zdenerwowania miałam zatrzymanie, i moczu, i tego. On często odwracał się, bo widział, ale to było straszną przecież trzeba było ręce prędko umyć, bo przecież nie było ani kawałka papieru, to były rzeczy potworne. To samo z kobiecymi sprawami, straszne, nic nie dawali, żadnych opasek, ani waty, nic. Całe szczęście, że spotykało się tylu dobrych ludzi. Na przykład te pielęgniarki, jak ja dostałam świerzbu w łaźni. Mydło dawali w garść, płynne, człowiek rozebrany do naga, mydło w rękach przed sobą, zupełnie jak w czysćcu. Potem od razu pod prysznic, woda jak piekło gorąca, prędko, prędko, pełno pary, że dusiłam się, dech mi zapierało. Nigdy potem nie chodziłam do tej łaźni, bo raz ta para spowodowała, że prawie przytomność straciłam, myłam się ~~pl~~ kawałku w miednicy. A oni chodzą, jeszcze siadają w tej bani wysoko pod samym sufitem, to trzeba być przyzwyczajonym.

W pierwszym więzieniu spędziłam parę dni, potem mnie przewozili, w ~~je~~ jednym mniej, w drugim więcej. Jest taki przepis, że trzeba przewieźć więźnia tam, gdzie popełnił przestępstwo. Mnie dowieźli aż do Lwowa. Już bez tej pani, nigdy więcej jej nie spotkałam. Przesłuchań nie miałam do samego końca. We Lwowie to był listopad. Tam siedziałam trochę dłużej.

We Lwowie siedziałyśmy w strasznie dużej celi, było sto kilkadziesiąt osób. A te złodziejki, które siedziały z nami i które przedtem bywały w tej celi, mówiły, że tam przedtem było kilkanaście łóżek, za polskich czasów. Jeszcze więcej osób było w Nowosybirsku potem, sto kilkadziesiąt osób na 4 piętrach.

Te złodziejki pocieszały nas, że prędko przyjdą Niemcy, będzie wojna, Niemcy wyzwolą. Myślały, że Niemcy nas wyzwolą. W ogóle złodziejki okazały się w więzieniu bardzo dobrymi współtowarzyszami, nie okradły. Miałam parę kawałków cukru, nie ukradły mi tego. Dla mnie to był skarb, przecież/rok nie widziałam ^{prawie} cukru w ogóle, w Łazachstanie. Mówiły do mnie: jaka szkoda, że panią zabierają. Były bardzo dobre, bo nigdy nie dały mi nosić tego kubła. Jak zobaczyły, że ja jestem ~~złota~~ cała pocięta po operacjach na brzuchu, aż do biodra, to powiedziały: nie, taka pani chuda, pani nie damy nosić. Inne panie, starsze czy chore, mogły coś kupić w sklepie i dać im za to noszenie, ale mnie pieniądze zabrano przy aresztowaniu i nie miałam nic. Powiedziałam im: ja nie mogę nic kupić, a one mówią: my od pani nic nie chcemy, pani na cały brzuch rozcięta. Były takie życzliwe, i dobre. Cały czas to robiły.

We Lwowie siedziałam długo, wyjechałam przed wejściem Niemców. /Respondentce myli się tutaj jak w wielu innych miejscach chronologia, z dalszej wypowiedzi wynika, że wywieziono ją dalej zimą 41 roku, na długo przed wojną niemiecko-radziecką/. Tutaj również nie było żadnych przesłuchań. We Lwowie to były chyba Brygidki. Na pewno nie Zamarstynów i nie to, w którym siedział ten prezes. Nie, najpierw siedział w tym co ja, a potem go zabrali do innego i wywieźli. On chyba siedział na Zamarstynowie.

Tam w tym więzieniu były tragiczne rzeczy. Była taka śliczna, młoda Żydóweczka, przewieziona ze szpitala dla umysłowo chorych. Pod Białymstokiem był jakiś wielki zakład dla umysłowo chorych, i w czasie wojny wypuścili ich wszystkich, i wyłapano je na granicy. Ona miała 17-18 lat, i jak zamykali celę, ~~ona~~ waliła w drzwi i mówiła: ja już tu nie chcę, ja już chcę do domu, odchodzę. Jak wyprowadzali na spacer na te wielkie dziedzińce, liczyli.

Kaptem brakuje jednej, okazuje się jej. Ona zakreśliła się gdzieś, małeńka drobna, mówiła: ja już chcę wyjść, ja już tu nie chcę mieszkać. Zaczęli szukać i złapali ją. I znowu ciągle waliła w te drzwi. Tak jej żalowaliśmy wszyscy.

Siedziałam bez wyroku i postawienia jakichś zarzutów. Ale było zarządzenie o odstawieniu do miejsca, gdzie było popełnione przestępstwo. W moim wypadku do Semipałatyńska.

Dlatego miałam ostatecznie za sobą chyba 12 więzień.

Po Lwowie zawieziono mnie do Kijowa na parę dni, potem na północ, a potem do Semipałatyńska, gdzie był sąd.

Cela we Lwowie była duża, ale największa była w Nowosybirsku. We Lwowie to był bardzo duży pokój, ponad 100 osób. Natomiast w Nowosybirsku w celi były 4 piętra więźniarek. Prycze były tuż jedna nad drugą, tak, że te kobiety, które miały miejsca na podłodze, musiały leżeć pod narami, głową zwrócone do kr. przejścia między rzędami nar, wystając na zewnątrz, a środek też był zajęty. Te, które jak ja, leżały pod sufitem, przy okienku, mokły od pary z oddechów. Ogrzewaliśmy cele oddechami, na dół zjeżdżałyśmy po słupki, jak potrzebowałyśmy do kubła. Trzeba było uważać, żeby nie nastąpić na czyjąś rękę lub głowę. Pamiętam leżące na podłodze 4 Chinki - były owinięte w jakieś kołdry, kolorowe, zszyte z kawałeczków, leżały jak rulony. One leżały na samym środku, a przez środek widać były głowy wszystkich leżących na podłodze. Wskutek naszych oddechów wytwarzało się widocznie wiele pary, to osiadało i zamarzała krata od okienka. Z tych krat ciekła woda, ja leżałam na swoim futerku ze źrebaków, pode mnie kapiała ta woda z krat i było tak zimno, że kiedyś oderwałam od nar przymarzniete futerko! Podciekło i przymarzło.

W dzień siedziałyśmy na narach ściśnięte, jak małpy w kucki. Rano wyprowadzano część, potem następną do toalety. Budzono nas o wpół do czwartej rano, żeby zdążyć ze wszystkimi do ubika-

cji i do mycia. Potem rozdawano chleb, w porcjach. Każdy prosił o przylepkę, tzw. garbuszkę, garbuszku pożałsta, bo to dłużej się je. Złościłi się: otkuda ja wam samych garbuszek wazmu? Do tego dawali liście zaparzone wrzątkiem, brzozone, czy jakieś. W jednym z więzień dostaliśmy ciepłą, nie gotowaną wodę. Siedzialiśmy wtedy koło stajni konskich, tam były dwa czy trzy konie w boksach, a tutaj na tej samej przestrzeni miałyśmy taką przegródkę, gdzie nara była, po dwie czy trzy osoby.

Jak się miało kubeczek, to było dobrze, ja miałam ze sobą menażkę aluminiową, ale ni ją zabrali i nie oddali, bo nie wolno mieć metalowych rzeczy. Miałam np. bluzkę, zapinaną na zamek błyskawiczny metalowy, nazywany feliksem, oni medytowali: metal, ale nie mogli go oderwać od bluzki... Dzięki temu że nie miałam żadnego własnego naczynia, do dziś zachowałam taką małą czarke ruską, małowaną w kwiaty, którą dostałam tam. To już potem dostałam, zresztą, jak wracałam z więzienia, okazało się, że ja ją ukradłam! Oczywiście, wcale nie ukradłam, tylko któraś zauważyła, że nic nie mam i dała mi. Dawali tam czasem po pół pomidora albo jakiś okrawek jabłka i dobrze było coś mieć ha to. Ona powiedziała: masz to!. Ja przecież nie miałam nawet czym pić, czasem ktoś dał mi swojej miski czy czegoś, ale zawsze byłam od tego uzależniona. Jak wychodziłam z więzienia, chciałam oddać tę czarke tamtej kobiecie. A strażnik raptem zabiera mi to, że to kazionnyje, ja mówię nie, to nie kazionnyje, ja dostałam od tej tutaj więźniarki i muszę jej oddać, zczekaj. Ona idzie, a ja mówię: prosze pani, on chce zabrać pani miseczkę! On pyta: to wasza? Tak. I jak wyszłyśmy już dalej, ona mówi: to wcale nie moja. A ja na to: to dlaczego pani powiedziała? ^{Ona:} Wydawało mi się, że pani tak chce to zatrzymać. Ja powiedziałam, no, mnie to się przyda, bo nic nie mam.

Z Marią Fridiger siedziałam w Nowosybirsku, ale nie w tej celi

gdzie przyjechałam, tylko w jakiejś innej.

+ Maria była ~~jako~~^{lo} mistrzynią olimpijską w Berlinie, miała być na Olimpiadzie w Pekinie. Powiedziała: miałam zimę spędzić w Nowosybirsku i rzeczywiście, los mi przeznaczył Nowosybirsk, tylko inaczej. Opowiedziała mi, że ją wywieziono ze Lwowa. Przyjechała tam z Wiednia do swoich przyjaciół do Lwowa i ją, podobnie jak mnie, zabrano niejako przy okazji. Ponieważ znała się na koniach, pracowała na Uralu jako woźnica w tartaku. I postanowiła uciec. Nie mówiła prawie słowa po rosyjsku, ze mną miała trudności, ale ja trochę znałam niemiecki. Mówiła, że na tym Uralu było jej źle, byli z niej zadowolenie, ale ona marzyła o powrocie. Gdzieś ją wysłali z tymi końmi, a ona komuś te konie zostawiła i dostała się do Moskwy, żeby interweniować, wyjaśnić sprawę, tak jak ja. Rzeczywiście, w Moskwie poszła do tej instytucji, opowiedziała wszystko jakiemuś dobremu człowiekowi, widzieć było po niej, że jest inteligentna i kulturalna pani, on wysłuchał, pożałował jej może, powiedział, żeby sobie poszła. Ona szła stamtąd, w jakiejś kieszeni miała kartkę z tego więzienia na Uralu, przypadkiem. Kiedy ją gdzieś przyłapano czy coś takiego, i kartkę znaleziono. zrewidowano ją. A w czasie ucieczki, bo uciekała, tzw. pobięgu, te psy wygryzły jej ~~kon~~ pośladek. Leżała w szpitalu więziennym, a kiedy się to wygoiło, chyba ją wypuścili, nie, nie pamiętam jak to było. Wyrwały jej duży kawał pośladka. Zabrano ją wcześniej, chyba wyszła. A ten w Moskwie wypuścił ją, tak jak mnie wtedy wypuścili ci milicjanci nad pasem granicznym.

Polek najwięcej było w Semipałatyńsku, w Nowosybirsku nie, ani po drodze.. Tam na przykład dawali kartki papieru i ołówki, przychodził taki i pytał, kto chce pisać, w innych nie. Ciągłe też opowiadano mi o obozach bez prawa korespondencji, ale takich osób nie spotkałam, myśmy przecież we Lwowie dostawali nawet kartki z Kozielska, ze Starobielska.

Z Nowosybiraska przez inne więzienia trafiłam do Semipa-
łatyńska. Pociągiem zeków, czyli więźniów. Wewnątrz jest ko-
rytarz i wszystkie przedziały są zakratowane i tylko dwa
razy dziennie przychodził strażnik, otwierał kłapę i dawał
wodę. Dawali też jakieś takie śledziki, których ja nigdy nie
brałam, bo przecież ręce po tym były brudne, umyć się nie można
a tyle dni się jedzie.
To były mokre śledziki, Rosjanki brały to, to te kilki, okrop-
ne. Dawali też chleb, więc jadłam chleb i wodę. Kipiatek.

Dojechałam do Semipałatyńska, tam był sąd.

Kiedy siedziałam w celi z Polkami, siedziała tam pani
Brykczyńska, w Semipałatyńsku, jeszcze w śledztwie, nie znam
jej imienia. Tkumeczka, poliglotka, która znała 4 czy 5 języków
i cieszyła się, że pozna jeszcze szósty. Wytworna, wysoka, szcza-
pła pani, o wyglądzie Angielki, bardzo przystojna. Ona pierwsza
była sądzona i dostała z § 58, za kontrrewolucję. Ci sędziowie
byli okropni, jacyś tacy głupi, fanatyczni, z nienawiścią, że
aż syczał. Powiedział jej tak, jak potem mnie: nie nrawiłos
w Sowieckim Sojuzie żyć? Bieżali? Ja powiedziałam, wcale nie
uciekałam, jechałam z biletem i nie naraziłam państwa radzieckie
go na żadne koszty. Więc jej to samo powiedział, tylko w innej
formie: stoi tu przed nami - to mówił prokurator - zacięty
wróg Związku Radzieckiego, tak nam opowiadała. ~~Pokazywała~~ Pokazy-
wała nam, z jaką wymowną gestykulacją on to mówił. Pytamy: a co
pani na to odpowiedziała? Ja? powiedziałam: „tu pan prokurator
powiedział, że ja jestem wrogiem Związku Radzieckiego. Jak mog-
łabym ja, stara, słaba kobieta, być wrogiem potężnego Związku
Radzieckiego?” Ja im tak powiedziałam: „jeżeli wam nrawiłos sowe-
t-skaja własť, pust’ ona u was budiet, nas sowsiem nie kasajetsa.
Nas to absolutnie nie obchodzi.” Wyobrazić sobie można, jak był
taki fanatyk wściekły. Ale ona dostała tylko 5 lat, za kontrre-
wolucję, a ja za zwykłą ucieczkę dostałam 10 lat! Przy mnie

była sądzona morderczyni, za udział, śliczna jak Madonna młoda dziewczyna, blondynka, piękne duże niebieskie oczy i ona dostała 5 lat a ja 10. Sądził mnie z taką nienawiścią, że po prostu syczał. I mnie też powiedział: nie nawet w Sowieckim Sojuszu? Ja powiedziałam: nie biegałam, tylko szłam z biletem, żeby wyjaśnić sprawę bezpodstawnego wywiezienia. I wiedziałam, że parę osób wywiezionych jak ja wróciło jednak. Ale gdzie tam!

Nie miałam żadnego adwokata. Przywiozła mnie i odwiozła milicja, pędzili środkiem ulicy, i na sąd i po wyroku. Jak ten milicjant dowiedział się, że dostałam 10 lat, powiedział: "niemożliwe!" a ten drugi, powtarzał: pisz apelację. Ja nie chciałam pisać apelacji, bo chciałam, żeby został mi ten świstek, ten wyrok, który mam do dzisiaj. Dowiedziałam się od tych, które były sądzone, że do apelacji zabierają, trzeba go dołączyć i do widzenia, potem żadnego śladu się nie ma. A ja chciałam mieć ten ślad.

To samo powtarzali sobie żołnierze, którzy zabierali mnie na ciężarówkę do więzienia: 10 lat! pisz apelację, taka ~~chuda~~ chuda jesteś, nie wytrzymaśz 10 lat! A ja mówię: ja wcale nie będę 10 lat siedzieć, byłam tego pewna. /Prawdopodobnie gru-

Daty sądu nie pamiętam, ani pory roku. dzień 1940 roku/.

Wyrok najpierw odsiadywałam w Semipałatyńsku, to było przed Bożym Narodzeniem. Wszystkie Polki dostały 3 lata za to samo, za ucieczkę. Kiedy stałyśmy na baczość, przychodził naczelnik więzienia, machał ręką, żeby się nie prężyć. Przyszedł przed Nowy Rokiem, może nawet przed Bożym Narodzeniem i powiedział nam, ~~same~~ samym Polkom: życzy nam, żebyśmy ten Nowy Rok spędziły już na wolności. Podziękowałyśmy mu bardzo. Pamiętam, że to więzienie było przy ulicy Dostojewskiego, bo Dostojewski tam siedział na zsyłce. Więc siedziałyśmy w więzieniu Dostojewskiego.

W Semipałatyńsku siedziałam dość długo. Duże wyrok zabierali

na Daleki Wschód, do Nachodki i Władywestoku. Stamtąd bym na pewno nie wróciła. Jak opisywano, w tych więzieniach działy się potworne rzeczy, Sokżenicyn i inni pisarze, straszliwe rzeczy. Ostatnie moje więzienie to było... wywieziono mnie do Czymkientu, do Uzbeki-
stanu, i ~~konte~~ stamtąd mieli nas wywozić dalej. Ale już jak wyjeżdżaliśmy z Semipałatyńska, po tym wyroku, tam ten dobry był dozorca, zostawił mi tę walizeczkę i tego paryskiego pieska, Feliksa, którego miałam ze sobą, bo też metal, zabraliby mi go. Tak jak chcieli mi zabrać ten sweterek zapinany na metalowy zamek błyskawiczny, to właściwie nie pałagajetsa, mówili, bo to metal.

W Czymkientie zastała mnie amnestia Sikorskiego. Była tam taka Zoja, chyba kekarka, była starostą w tym więzieniu. Fatalna funkeja, bo każdy ma pretensję, to jest pośrednik między dyżurnymi, czyli władzą, a więźniami, każdy czegoś od niej chciał, była nieszcześliwa, ona miała 5 lat, a ja 10. W to nikt nie chciał wierzyć. A jednak to było prawdziwe. Najgorsze, że mnie nikt o nic nie pytał. Miałam swoją teczkę, ale nie wiem, co w niej było, może jakieś adnotacje. Upomniałam się w więzieniu o ciepłą sukienkę. Przyniesiono mi ją, potem miałam historię z tą miseczką, co ją rzekomo ukradłam.

Z osobistych rzeczy miałam ten worek ze ⁱwałizeczkę. Pie-
niądze szły za mną przez dwa więzienia, a potem je ukradli.

Wszystko zależało od naczelnika i dlatego mówię o tym kijowskim
więzieniu, tam ^{w Semipałatyńsku /?/} musiał być niezwykle naczelnik, który tak wyćwiczył
swoich pracowników. Przyszedł wtedy naczelnik i mnie samej i 4
Polkom wypisał, co przyszło razem z nimi: obrączki, broszki,
kolczyki, z jakimi kamieniami, z diamencikami, z turkusami, wszyst-
ko wyczytał i powiedział nie mogę paniom tego dać, ale wszystko
tu jest, dostaną panie z powrotem, jak wyjdą panie na wolność.

Czymkient
To było straszne więzienie. Tam były pluskwy niesamowite.

Osób było mniej niż we Lwowie czy w Nowosybirsku, jakieś 30 czy

5⁰ osób. Pluskwy nieprawdopodobne. Upał straszliwy i jak tam, w Czymkencie, siedzieliśmy na dziedzińcu prawie nagie, tylko w figach i stanikach. Duchota straszna, warunki straszne. Tam byliśmy świadkiem niezwykłego spotkania. Jedna pani wypatrzyła w czasie spaceru swego męża, zwróciła się z prośbą do naczelnika i pozwolił im się spotkać. Na ileś tam minut, na zewnątrz na dziedzińcu spotkali się. To już było przed wojną. Dlatego siedzieliśmy na dziedzińcu, że sprowadzali ze wszystkich więzień ochotników do wojska - morderców, katorżników ~~z~~ . Tym, którzy zgłosili się na ochotnika podobno zmniejszano wyroki. I tymczasowo ich tam grupowali, oni mieli iść na front, przygotowywali się. Oni siedzieli w ciałach, a my na dziedzińcu więziennym. Na czterech narożnikach stały strażę, mur wyoki, strażnicy uz kababinami, my w tych lekkich szlafroczkach. Jak podchodziłyśmy po wodę - wodę dawano dwa razy, z rana i wieczorem, a raz jakąś lurę do picia - to nie wiadomo było co myć: zęby, czy użyć do spraw intymnych, i jak je załatwić na dziedzińcu przy tych strażnikach. Jak wychodziło się tam do ubikacji, to używało się czegośkolwiek, jakiejś szmatki czy chusteczki, jakoś starało się te sprawy załatwić. Sprawa higieny to było coś potwornego. Do toalety chyba nas tam wyprowadzono do cel, do więziennych kubłów. Wydawano tam wodę. Każda starała się siedzieć pod murem, ale dla wszystkich nie starczało miejsca, prażyło straszliwie, ja nie mogłam spać. Poza upałem tam są burze piaskowe i niesie taki ples, taki pył. Na tym dziedzińcu siedzieliśmy dzień i noc na gołej ziemi, gorąco było, przykrywałyśmy się tylko tymi szlafroczkami, czy czym kto miał. Polki miały zawsze kolorowe szlafroczi. Siedzieliśmy w grupkach i rozmawialiśmy, bo ^{jak} co przyszła nowa Polka, to przynosiła jakieś wiadomości. Raz kiedy siedzieliśmy tak w kółku, raptem z tego "gołębnika" wpada taki malecki kawałeczek pa-

pieru. Ach, gdyby złapali tego strażnika, go ~~przucił~~ przucił ten kawałek! To było ogłoszenie wycięte z gazety, małe jak ogłoszenie drobne, jak nekrolog, powiadomienie, że więźniowie polscy z tych i tych paragrafów mają być zwolnieni. A przedtem, co któraś przychodziła nowa, to mówiła, że Polaków będą zwalniać. I ta Zoja, ta lekarka, co była starostą, kiedy ja już tak źle się czułam, bo miałam świerzbę /oryg. wymowa/, tam taka siostra smarowała mnie białą maścią co parę dni i mówiła że to przejdzie, tylko trzeba włożyć całą bieliznę i ubranie nowe, a ja nie miałam żadnej zmiany, strasznie mnie żałowała, te Rosjanki były miłe, które pracowały w więzieniu, ona mówiła: no, ja bym pani pomogła, ale nie mogę nic pomóc. Inne więźniarki bały się mnie, a ja tę świerzbę miałam ~~xx~~ pół roku. Zaraziły mnie chyba w Nowosybirsku te małe ~~atki~~ atki, które były plagą nie tylko więźniarek, ale i dyżurnych. Była taka gadka w którymś więzieniu, że kiedy jakiś dyżurny zaglądał przez judasza, one wybiły to oczko i jemu oko wybiły! One były straszne. ^{rozpłatały} ~~idziały~~ lekarke, która jechała do Moskwy na rewizję procesu. Ona dała mi pół gazety, a myśmy przecież nie miały ani kawałka papieru, to była bezcenna zdobycz! Jak do mnie do celi, do tego przedziału zeków wsadzili te małe ~~atki~~ atki, to to było straszne! Jedną zwłaszcza pamiętam przerażającą. One miały po 12 - 15 lat, złodziejki i prostytutki. Jedna z nich była strasznie złośliwa, ona właśnie miała świerzbę. Okropny wygląd, łapy całe poranione od świerzb^y, te niskie czoło, do teki zbrodniarzy, twarz straszliwa, sztywne jasne włosy, usta od ucha do ucha. Ona z takim wstrętnym, jak to Rosjanie mówią ~~skidnyak~~ "ohidnym", to lepiej oddaje niż polskie słow~~o~~, uśmiechem, podeszła do mnie w łaźni i powiedziała: tiotieńka, dawajcie, ja wam spinku pamoju. I tymi mokrymi, zarażonymi rękami wyszorowała mi ~~placy~~ placy. I zaraziła mnie. Przez te pół roku byłam jak Łazarz, cała w ranach, do dziś mam białe

punkciki.

W więzieniach siedziały też chore umysłowo, które krzyczały po nocach, po jakichś strasznych przeżyciach. Pamiętam jedną z lwowskiego więzienia, taka społojna śliczna z tej Choroszczycy a druga niepokojna, krzyczała ciągle, miała lęki, jakieś straszne sceny widziała. Nawet ~~tych~~ noc, nie można było spędzić tych paru godzin spokojnie.

I ta Zoja często do mnie podchodziła i mówiła: niech pani wytrzyma.

Pląskwy były tak straszne, ^{w Czymburcu} że kiedyś zlitował się ten dyżurny, otworzył nam drzwi, bo było duszno i strasznie. Kiedyś na oknie usiadła modliszka, to ślicznie wygląda, zaczęłyśmy się zachwycać, jaki piękny zielony motyl; a to podobno jak ugryzie to śmierć, strasznie jadowite. Tak jak ~~to~~ jak pół kartofla; znowu były w Semipalatyńsku ^{były} pajaki takie, kiedyś mało nie dotknęłam, bo wyglądają jak pół ^{dużego} kartofla. A jest okropnie jadowity, rodzaj skorpiona. ~~Chyba~~ Chyba nigdy nie widziałam nic równie ładnego jak ta modliszka. On krzyknął: nie zbliżać się! Więc on z powodu tych pluskiew ^{dużego} pozwolił nam kiedyś wyjść na zewnątrz i usiąść na schodach, bo to było na piętrze, te nasze cele. Myślałam sobie, że usiądę, trochę powietrza chłodnego wieje, może chwilę się zdrzemnę. Tylko przymknęłam oczy, raptem zaczyna mnie piec jak ogniem. Całe nogi miałam pokryte pluskwami. Z tych drewnianych schodów wyłaziły stada pluskw ^{dużego}. Na tej drewnianej ścianie, koło której leżałyśmy w celi jedna naliczyła sto z czymś natłuczonych i pokazywałyśmy tym dozorcóm, prosiłyśmy naczelnika, ~~jak~~ ile tu tych pluskiew, a on mówił, że nic nie poradzi, bo latem będą remontować, dopiero. To była w więzieniu klęska - choroby i pluskwy.

Nigdy w więzieniu nie rozbieraaliśmy się do snu, stale byliśmy w tym samym ubraniu. Ja nakrywałam się tym swoim futerkiem. W każdym więzieniu pędzili raz w tygodniu do łaźni, do tej bani, ale ona też była straszna. Gole, jak szkielety wyglądałyśmy, niosąc płynne mydło w garści. ^{W odwieszalni} było ryzyko ~~zabrania~~ ^{zabrania} sobie ubrania. Do wyjścia z więzienia mordowałam się z tym świerzbem.

Jedna z lekarek ^{mł} dała, jak mówiłam, kawałek gazety. Byłam szczęśliwa. Ja spałam na dole, one, te małolátky, na górze. Jak rozdawał wodę, jedna z tych małoletek poprosiła mnie, żebym dała jej wody napić się kubeczkim, bo ona nie ma swojego. Ja jej dałam, a ona wsadziła ręce do tej wody. A jak zobaczyła moją gazetę, zabrała mi ją, została mi tylko ~~kaw~~ kawałeczek, za który trzymałam tę gazetę w ręku.

^{gdzieś pō drodze,} Jak przyjechal^{śmy}/do tego więzienia, ta straszna małoletka powiedziała: my tiotieńka s wami, my s wami. A dyżurna, która nas przyjmowała, powiedziała: niech pani się nie boi, ja pani nie dam razem z tymi, one mogłyby panią w nocy zadusić. Dyżurni w więzieniu się ich bali.

Sąd. Ponieważ dostałam nieprawdopodobny wyrok - 10 lat, maksimum nigdzie nie stosowane, nie mogłam uwierzyć, ale on potwierdził.

Na szczęście w tych więzieniach spędziłam niecały rok, bo przyszła amnestia. Mieli nas wywieźć do ^{Buchta-} Władywostoku i ^{Nachod-}ki, do wykańczalni, jak opisywał Sołżenicyn.

Na duchu najbardziej podtrzymywała mnie ta Zoja, ~~ta~~ lekarka, która dostała tylko 5 lat, ciągle powtarzała: niech pani tylko trzyma się, bo pani na pewno wyjdzie. To samo mówiła mi pielęgniarka, obie Rosjanki. Ale ^{z lekarką} ~~byłyśmy~~ ^{byłyśmy} razem tylko parę dni, potem została tylko pielęgniarka. Kiedyś przyszedł dyżurny i wywołał moje nazwisko : dawajcie z wieszczami, ta podbiegła do mnie i powiedziała: idzie pani na wolność!

I rzeczywiście, zaprowadzili mnie do naczelnika więzienia i powtórzył mi, że z 40 artykułu jestem zwolniona i gdzie chcę wrócić. Wiec powiedziałam, że na szczęście tu nikogo nie mam z rodziny. On powiedział; ~~że~~ pani rodzina jest po tamtej stronie. Ja powiedziałam, że chcę do Lwowa; a nie, do Lwowa pani nie może, ani do Lwowa, ani do Augustowa, ani do Warszawy. Głupio powiedziałam: to wrócę do tego Semipałatyńska i niestety tak się stało. Niestety dlatego, że gdybym została w Czymkiencie, mogłabym wyjechać stamtąd z niedługo formującą się armią polską. W tym obozie armii dla wywiezionych z Kazachstanu zresztą sporo osób zmarło na tyfus; i taka dziewczynka, śliczna, piętnastoletnia dziewczynka, wyglądająca jak Madonna. Kazachowie na nią patrzyli jak w obraz i chodzili za nią. Na szczęście ani ona, ani żadna Polka nigdy tam nie skusiła się na żadne propozycje i nie słyszałam, żeby nawet któraś wyszła za mąż czy jakoś inaczej te sprawy załatwiała. Dowiedziałam się potem, że ta prześliczna dziewczynka zmarła na tyfus! Tam, w obozie. Miała brata kadeta, który tam pasł barany, w tym poszarpanym mundurku, zniszczonym, okropnie było patrzeć na te dzieci, jak się marnowały.

Dali nam, żeby było ciekawiej, wojskowy bilet, tzw. wojenny bilet, na moje nazwisko, ważny na 3 osoby. Z biletami było bardzo trudno, po kilka nocy ludzie koczowali, jak przedtem w Kijowie. Nocowałyśmy w takim kołchozowym domu, w którym też były jakieś nieprzyjemne historie, trzy noce. Potem moje towarzyszki wysiadły gdzieś wcześniej, a ja w Semipałatyńsku.

Po przyjeździe nie miałam gdzie nocować, spotkałam jakichś Polaków, którym powiedziałam, że właśnie wyszłam z więzienia. Miałam taką kartę, z którą musiałam się zgłosić do jakiegoś

urzędu. Ci Polacy zaproponowali, żebym przenocowała u nich. Oni pracowali w takich ogrodach, gdzie rosły kawony, na bakozach, to się nazywało. ~~Tam~~ nocowałam w takim namiocie-szałasie razem z nimi, trzy dni chyba. Potem poszłam do prokuratora w Semipała-tyńsku. On zapytał o moje dane, zapytał, czy nie ^{jeszcze} umiem/czegoś robić. Powiedziałam, że mam skończone kursy pielęgniarские dziewięćmiesięczne i że ~~pracy~~ ^{pracowałam} w szpitalu w czasie wojny. Więc ~~da~~ dał mi skierowanie do ~~szpitala~~ - przeraziłam się - dziecięcego szpitala. Nigdy w życiu nie trzymałam w rękach małego dziecka. On postanowił, że to będzie dwutygodniowa praktyka, tam miała być Polka-lekarka, a potem miałam dostać pracę w szpitalu dla dorosłych. Ona wyjechała potem z armią Andersa, armia polska lekarzy i personel medyczny zabierała do wojska. Żeby wyjechać, trzeba było dostać zaproszenie, tzw. wyzów, i wszyscy dostawali i ta lekarka obiecała mi to przysłać, ale nie przysłała. Potem pojechała jeszcze jedna polska pielęgniar-ka, która też to dostała, i też mi nie przysłała. I zostałam w tym szpitalu.

Tu był dział somatyczny i infekcyjny. Musiałam pracować według umowy - dwa dni pracy i dwie doby wolne. Okazało się, że jak nie przyszła zniana, trzeba było i tak zostać. Kiedyś po 3 dobach, kiedy trzeba było biegać i tu i tam; i ~~tylko~~ jak z infekcji pukali w ścianę, żebym przyszła zrobić zastrzyk, bo dziecko umiera, to biegłam, zmieniałam tylko płaszcz i to była cała dezynfekcja między oddziałem zakaźnym a somatycznym. Kiedyś więc po 3 dobach byłam tak strasznie zmęczona, panowała złości-^{że}wa odra, dzieci umierały jak muchy, ~~nogi~~ mi spuchły jak kloce, myślałam, że zachorowałam na nerki, ale nie, to tylko trzy doby bez przerwy na nogach, bez odpoczynku. Przyszła lekarka, ja mówię że muszę odejść . Nie, nie może pani odejść, ho nie przyszła

zmiana. Nie, proszę pani, powiedziałam, ja nie mogę zostać, bo jestem nieprzytomna ze zmęczenia, ja mogę zrobić coś nieodpowiedzialnego. To my panią podamy do sądu. Ja powiedziałam: proszę bardzo. I poszłam, musiałam się wyspać. Oczywiście, wcale mnie nie podali do sądu.

Była też taka okropna siostra, jakaś ~~zła~~ chyba Ukrainka, bardzo niesympatyczna, od pierwszego wejrzenia oceniłam ją negatywnie, choć to nie zawsze jest trafne. Ona istotnie była niesummienna. Tam niesposób było spać w tym szpitalu, bo chociaż oseski spały z matkami, to często matka zasypiała i trzeba było ją budzić, żeby czuwała przy tym dziecku, bo tych dzieci było bardzo dużo. Więc ta pielęgniarka czasem spała. Była taka jedna bardzo życzliwa dla mnie sanitariuszka, która mówiła: to okropne, ~~że~~ musimy coś zrobić, bo ona śpi, a potem takie straszne rzeczy się dzieją na dyżurze. Ja powiedziałam: nic nie mogę zrobić, więcej nie mogę jej zastępować niż mogę. Ona, ta nieprzyjemne, oskarżyła mnie przed lekarką, dyrektorką szpitala, że ja się w nocy kąpiel. To zresztą było wykluczone, bo tam wanna stała w łazience, ale nie było wody, nikt się nie kąpał, ani ja, ani dzieci, tylko leżała tam brudna bielizna. To oskarżenie było absolutnie bezpodstawne. Oburzyło to wszystkich. Dyrektorka wezwała mnie. Przyznałam, że często w nocy zdarza się mi umyć się w rukomojniku, taka bańka wisi z metalowym drutem, który się podnosi i leje się trochę wody. To można było tylko pachy umyć i szyję, i twarz, ręce. Owszem, myłam się pod tym rukomojnikiem, bo przecież bywam spoconą i w nocy muszę się wymyć, ale reszta jest wymysłem. Inne też były wzywane i jak się sprawa wyjaśniła, z miejsca ją zwolnili. Ona mnie nie lubiła, bo przedstawiła się na początku, że pracowała przedtem jako "partizan". Ja zapytałam, w jakiej miejscowości, i okazało się, że to było tu, wcale nie na froncie. To jaki z partyzant, zapytałam, wy w tyłu partizan^{ili}. Więc ona ~~nie nie lubiła~~

była bardzo obrażona. Co ją najbardziej ^{nowotraczyło, bo} wściekło, że te matki ^{podziękowanie} które tam były, napisały w księdze zażaleń i wniosków ^{tylko} Polki, obie w każdym razie dla mnie i dla drugiej pielęgniarki, ~~tak~~/nie Rosjanki, podziękowanie za bardzo dobrą opiekę ^{blagodarim} nad dziećmi. "Blagodarno (za choro-
szo)je popieczienie nad dietmi - matki". To było bardzo przy-
jemne, no i że my obie byłyśmy Polki. Jedna sanitariuszka do
mnie przyszła i mówi: a widzisz, jednak ocenili naszą pracę
tak jak trzeba.

To był zwykły, państwowy szpital dziecięcy. Była sala
osesków.

Jak zwykle, mieszkaliśmy kątem. Szukałam kąta, bo ~~przecho-~~
dzenie przez rzekę, przez Irtysz, było bardzo niebezpieczne.
To ogromna rzeka, na wiosnę było niebezpiecznie, mało się nie
utopiłam, bo załamał się lód tam gdzie przechodziłam, przy
brzegu, ale mimo to wydobyłam się na szczęście i nic mi się
nie stało. Przygoda była niemiła i wszyscy mówili, że powinnam
zdobyć gdzieś mieszkanie w Żana-semi, czyli Nowy Semipałatyńsk,
takie miasteczko. Most był, ale nie do użytku z jakiegoś powo-
du, nie pamiętam, czy remont był, czy coś i na wiosnę i zimą
wszyscy przechodzili po lodzie, może most był zasypany śniegiem
Były zwały kry i przejścia jak tunele między nimi. Kiedyś miałam
taką przygodę, że wracałam wieczorem z Semipałatyńska, bo po
dyżurze tam zawsze chodziłam. Odnalazłam tam tę starą panią Bie-
lawską, z którą mnie wywieziono. Ona jeszcze żyła. Znalazłam ją
w strasznych warunkach, zawszawioną. Jak miałam wolne, chodzi-
łam zanieść jej coś do jedzenia, albo coś ze szpitala, jakąś
zupę czy kaszę. Miałam w ogóle tylko to jedzenie, które dawali
w szpitalu. A jeszcze lekarka mnie uprzedziła, że jedzenia nie
ma, tylko trzeba mieć swój chleb. Sanitariuszka wykupi ^{przydzał} mi chleba
Ja mówię, jak mam wykupić? ~~як выкупить~~ ~~привезти~~ Miałam przy

dział chleba, większy, bo służba zdrowia miała nie 40⁰, ale 600 gramów chleba dziennie, ale to była podstawa jedzenia. Mogłam czasem zaoszczędzić kawałek chleba dla tej pani. Bo sanitariuszka powiedziała mi: zupy zawsze trochę będzie, bo niektóre dzieci nie jedzą wcale, kaszy trochę zostanie, bo oficjalnie nie ma, ale my wszystkie jemy coś tam, podleje się trochę i będziesz miała raz dziennie ciepłe jedzenie, a chleb ktoś wykupi. I to był dla mnie najlepszy okres pod względem jedzenia.

Nie było to okradanie dzieci z jedzenia, po prostu niektóre dzieci nie jadły i zostawało, były takie chore. Była jedna młoda sanitariuszka, niedobra. Przy podziale chleba powinna w zasadzie być pielęgniarka, ale taki był już zwyczaj, że to robiły sanitariuszki, nie chciałam interweniować. Aż raz zobaczyłam, że jedna z nich zawięła coś, były gałki z mięsa, czy coś takiego, zawięła 4 czy 5 kotletów. Ja weszłam akurat, jak ona to zawija. Więc pytam: co ty pobisz? Ona się strasznie spieszyła, przeraziła. Ja mam dwoje dzieci w domu, mówi. Ale to to przecież dla tych dzieci tutaj, powiedziałam, te dzieci też mają tylko to, ciężko chore, strasznie chude dzieci, nie wiem jakikx człowiek bez sumienia mógł im coś zabrać. Mówię, jeżeli nie jedzą, to będziesz mogła wziąć, ale od razu zabierać, to przecież straszne. Przeraziła się i błagała, żeby ^mja nie powiedziała lekarce ani dyrektorowi. Obiecałam: nie powiem, ale musisz mi dać słowo, że to ostatni raz robisz, nigdy tego nie zrobisz.

W ięc rzeka. Było przejście między krami, i ja tamtędy też chodziłam. Mrok zapada tam nagle, nie ma zmierzchu, nie ma przejścia, jest jasno i od razu robi się ciemno zupełnie. Zrobiło się więc nagle ciemno, kiedy zeszałam na to przejście. I słyszę za sobą jakieś kroki. Ja sżaję - cicho. Myślę, może

mam halucynacje słuchowe? Doszłam i raptem ktoś krzyczy: hospodi eto wy idiotie? Boże, ja myślałam, że to jakiś bandyta idzie! To pani idzie też? I poszłyśmy razem, to była jakaś Rosjanka. Co za szczęście, ~~że~~ to nie był żaden mężczyzna, ani złodziej, ani bandyta. Przyszłam do domu i gospodyni już bardzo była przerażona, bo było dawno zupełnie ciemno, było już po 10. Ledwie znalazłam tę lepiankę w tych ciemnościach, te lepianki są tak podobne jedna do drugiej, nie ma ulic, tylko stoją kupa.

Nigdzie nie można było ^{wynajmować} znaleźć miejsca do spania, najczęściej ludzie wynajmowali kąt w kuchni czy coś takiego. I tu mi jedna powiedziała: jeżeli chcesz, możesz u mnie nocować na takim kufrze, bo ja nie miałam łóżka ~~nie~~ ani nic takiego. I u niej nocowałam, na kufrze ze skurczonymi kolanami, ale jednak pod dachem.

Przyjeżdżali czasem lekarze z armii Andersa, mówili: w wojsku jest tyle potrzeb, a pani tutaj dla nich pracuje, a tam brak pielęgniarek. I ciągle ktoś mówił, że przyśle mi to zaproszenie, ale nikt nie przysłał.

Kiedy otworzyła się placówka Ambasady Polskiej w Semipalatyńsku, i organizował się Dom Sierot Polskich, mnie wezwano do Wojenkomatu - Wojskowa Komisja Wezwunkowa. Ja myślę - co to, wojska nie ma, zaproszenia nie mam, co to może być? Poszłam, a na Irtyszu spotkałam kogoś, kto wracała stamtąd, bo już odwołana ta komisja, już nie wzywają, i wróciłam. Wezwano mnie więc do Ambasady i zapytano, czy nie chciałabym pracować jako pielęgniarka w Domu Sierot Polskich. Tam była wojskowa ochronka i ta z wojskiem była wywieziona a teraz będzie cywilna, będzie się ścigać polskie sieroty z różnych osad i wsi. Zaczęłam tam pracować, ze mną były jeszcze dwie panie, wszystkie z wyższym wykształceniem. Jedna pracowała jako kucharka, jedna wychowawczyni, a ja miałam być pielęgniarką i kierowniczką tej ochronki.

[Dom był drewniany, spory, była tylko jedna (sala duża) przedzielona na dwie, dla chłopców i dziewczynek. I druga, w której przepierzeniami był zrobiony kącik, apteczka, łóżko wąskie z 3 desek, gdzie można było przespać się i tam miałam urzędować. Ani stolika, ani nic. Lekki do apteczki, najbardziej podstawowe, dostałam też z ambasady i jakoś to zorganizowałyśmy. Dzieci były w okropnym stanie, w różnym wieku - od 4 lat do 16 lat. Był taki 16-letni chłopiec, który miał chorą matkę. Było ich razem 50 -ro. Trzeba było ubrać je jakoś. Wydano nam po dwa prześcieradła, dwa koce i po małej poduszeczce i 1 zmianę bieżelizny. Wszystko zostało urządzone, wyszorowane porządnie. Kuchni w ogóle nie było. Na spiżarnię był oddzielony kącik koło mojego ambulatorium, była mała ziemianka, gdzie na paru samanach, bo cegieł nie było, stał płaski kocioł jak misa i w tym gotowało się i wodę, i zupę, a oni to jeszcze w tym kąpią dzieci. W tym raz gotowałyśmy zupę. A jak było wielkie święto, dostałyśmy jakiś tłuszcz roślinny, była biała mąka i smażyliśmy im jakies ni to placuszki, ni to racuchy. I to było wielkie święto. /Bo zazwyczaj była albo zacierka, albo jakaś tam...^{tr} mleka albo tłuszczu do tego, w każdym razie gorące. Robiła^{Am} czasami jakąś kawę zbożową czy coś takiego dla odmiany. Do jedzenia głównie była mąka i to było najważniejsze, bo z kaszami było gorzej. Grys czasami dostawałyśmy, bardzo rzadko. Warzyn ani owoców żadnych. Tam jest okropna ziemia, piach. Potem mieszkałam u takiej gospodyni, która nie wiem ile trudu wkładała w parę grządek, żeby mieć pomidory, nie wiem ile wiader wody na to lała, bo to natychmiast wysychało.

Dzieci szkolne bawiły się z wychowawczynią, chodziły nad Irtysz kąpać się. Trzeba było je ubrać. W ambasadzie dali

nam z tych ciuchów przywiezionych tam, różne sukienki, duże spódnice i td. i z tego dobrało się niektórym, z bluzek porobiło się coś przyzwoitego, jakoś poprzerabiało się. Upały były straszne, wszystkie dzieci były postrzyżone, jak przychodziły, trzeba było ostrzyć, jak w szpitalu robiło się, do goła, albo goliło, żeby nie było wszawicy. Postanowiłyśmy im zrobić berety. Dostałyśmy jakieś białe rzeczy i uszyłyśmy berety. ~~xxxx~~ Jak jednak działają nacjonalizmy. Raziło wszystkich, że te dzieci chodzą w białych beretach, przecież chodziło o ochronę od słońca, no i były łyse. Kiedy nasze dzieci bawiły się, inne dzieci wchodziły na płot i rzucały kamieniami w nasze dzieci tańczące w koło z wychowawczynią. Jak prowadziła je do kąpielii do rzeki, krzyczały: polskie powary, polscy kucharze. Myśmy też nosiły te berety. Miałam taką przygodę + poszłam coś załatwić, podchodzi do mnie jakiś normalny wydaje się człowiek i pyta: czy mogę zapytać, a jakiej kuchni pani pracuje jako kucharz? Odpowiedziałam: durak! i już. Oni byli przyzwyczajeni bez nakrycia głowy w tym palącym słońcu.

X Jedna z pań dostała jakąś bluzkę zabawną, bo w tych ciuchach były nieprawdopodobne rzeczy, z których nic nie mogłyśmy zrobić. Ta bluzka była z czegoś białego ~~zupnie~~ przejrzystego, a że był upał, ona miała jakiś drut i postanowiła zrobić sobie kapelusz, z rondem na drucie, jak parasolka. Musiała zrezygnować z tego kapelusza jednak, bo psy nie przyzwyczajone do takich wódek leciały za nią i szczekały. Powiedziała z żalem, że nie może korzystać, bo jak idzie do szpitala, psy ją gonią. Z rzucaniem kamieniami było strasznie. Raz rzucili kamieniem tak niefortunnie, że raptem słyszę krzyk, wypadam do wejścia, a to małego, najmłodszego trafili w oko i ma rozcięte, krew, nie wiadomo co jest. Zabrałam dziecko natychmiast, zdobyłam jakiś wóz, zawiązałam do szpitala, na szczęście uszkodzenie było tylko

zewnątrzne. Lekarka orzekła, że nie grozi ślepotą. Powiedziałam jej, widzi pani, jakie to smutne, mówicie, że wszyscy ludzie są równi, wszystkie narody, a tu dzieci nie mogą się spokojnie bezpiecznie bawić, rzucają kamieniami, może być takie nieszczęście, w oko trafili. Ona powiedziała, bardzo mi przykro, ale ludzie są różni, dziecka żal, ale oko będzie w porządku.

Każde z dzieci marzyło, że wprawdzie matka zmarła, ale przyjdzie ojciec szukać go. Jak tylko przychodził jakiś mężczyzna, przychodziły, pytały się, czy to może ten, liczyły niektóre na to bardzo.

Wszedł kiedyś jakiś pan w cywilu, Rosjanin i pyta, czy tu jest ochronka polska. Tak, więc on chce widzieć kierowniczkę. Przyszedł i powiedział, że chce porozmawiać. "aprosiłam go do kąpika w tym laboratorium. Wszystkie panie weszły od razu do spiżarni i do sypialni, że posłuchać, czego on chce. On pyta o moje dane personalne, ja powiedziałam. Potem pyta o inne, zna nazwiska. Myślę, kto to może być? A czym się zajmują, a co ta robi, a co ta. A nagle pyta: wy uczycie tutaj dzieci? polskiego? Ja mówię: jak my możemy uczyć? my tylko ~~nie~~ chcemy, żeby one nie zapomniały języka polskiego, bo mają ojców w armii, o więc uczymy je poprawnie mówić po polsku, opowiadamy bajki, ~~poprawiamy~~. Nie mamy żadnych książek, jak my możemy je uczyć? Nie ma żadnego papieru, jak same potrzebujemy coś zapisać, robimy to na brzegach gazety. Przecież pan wie, jakie są warunki. A cały czas zastanawiam się, kto to może być? Pytam: o co właściwie panu chodzi, czemu nas pan zaszczycił, pan wszystkich zna... A pani mnie nie pamięta? Nie, ja pana pierwszy raz w życiu widzę. A jak pani się tutaj meldowała, to nie była pani u mnie? Ja mówię: nie, nie pamiętam pana, ale z jakiej pan instytucji? Ja? z NKWD, z zgranicznego działu NKWD, pani tam była. Ja panią pamiętam, a pani mnie nie? To pan ma dobrą pamięć - powie-

działam. Ale o co chodzi? On powiedział: tutaj kiedyś była ochronka wojskowa, ja ją wizytowałem i wydaje mi się, że teraz tu jest większy porządek, niż przedtem. A co dzieci teraz robią? Był poobiedni odpoczynek, nazywało się to miotwyj czas. Dzieci śpią. A dzieci podsłuchiwały, bo myślały zawsze, że to ktoś z rodziców i jak on wszedł na ich salę, wszystkie zakryły się z głowami prześcieradłem. On wszedł do jednej sali, do drugiej. Każde dziecko po przyjściu chciało nad swoim łóżkiem powiesić obrazek, te, co miały łóżka pod ścianami. Albo krzyżyk. Wiedziałam, że z tym będzie kłopot i powiedziałam im: ~~z~~wiecie, ile jest kłopotów z pluskwami i nie będziemy wieszac obrazków. Ale zrózcie wszystko, co macie, wybierze- my najładniejszy obrazek w ramce. Jedno z nich miało oprawioną w ciemną ramkę obraz Matki Boskiej. Powiesiły więc dziewczynkom ten obrazek, a chłopcy wypalili na brązowo drewno i zrobili krzyżyk. Mieli po 10-12 lat. On patrzy na ten krzyżyk: a to pani powiedziała? Ja mówię: nie, to dzieci powiesiły. I opowiedziałam, jak się to stało.

Po tej wizycie przyszła taka komisja, 5 osób. To już było tuż przed popsuciem stosunków. Mówią, że muszą zabrać majątek ambasady polskiej. Ambasadę wtedy na razie zamknięto, ale nie było jeszcze likwidacji, potem nas wzywano na świadków. Ja powiedziałam: tu nie ma żadnego majątku, każde dziecko ma 2 zmiany bielizny, ubranie i dwa koce i poduszczykę. Majątek, jeżeli to państwo nazywają majątkiem, w zapasami w spiżarni, wzięłam z ambasady i mogę oddać tylko w ambasadzie. Pani mi potem mówiły, że powiedziałam to drżącym głosem, ale bardzo ostro. Powiedzieli: To pani nie godzi się na to? My jesteśmy komisją z województwa. To nic - powiedziałam - ja nie godzę się na to. To pani pozwli z nami, do województwa. Mówię: proszę bardzo. Pani się ubierze. Poszłam. Wszłam gdzieś i opowiadam.

Że przyszedł nawet buchalter, który chciał spisać majątek polskie
ambasady, i ja nie zgodziłam się i dlatego tu jestem. Więc on
mówi, to głupstwo, niech się pani tym nie przejmuję i tyle. Tak
się to skończyło. Potem przyszli drugi raz i powiedzieli, że
dzieci mają zabrać do ochronki rosyjskiej, a to się zlikwiduje,
bo dom jest na coś potrzebny. A to było w tym czasie, kiedy
staralam się o jesienny opał i przydział prowiantu. Z tym był
bardzo wielki kłopot, kazali mi przyjść za parę dni i znowu
za parę dni, jakies takie ~~x~~ byłyśmy niespokojne, widziałyśmy,
że coś się święci. Kiedy przyszli więc zabierać dzieci do
rosyjskiej ochronki, ja powiedziałam; nie, nie oddam dzieci, bo
nie po to była ochronka, żeby dzieci, które ~~nie były polskie~~
mają polskich ojców, wróciły bez znajomości języka. Przecież
niektóre dzieci, przywiezione z odległych wsi, np. ta mała,
mówiły tylko po rosyjsku, jakimś łamanym językiem, bardziej
rosyjskim. Uważałam, że ta ochronka jest po to, żeby dzieci
zachowały swój język, przecież wrócimy do kraju kiedyś, powie-
działam. To im się nie bardzo podobało i zlikwidowali potem
tę ochronkę. Ktoś mi wtedy powiedział, że jeżeli chcę tak zała-
twić tę sprawę, żeby nie oddać dzieci do rosyjskiej ochronki,
to trzeba zwrócić się do instytucji, która nazywała się zdaje
mi się Obłono, odpowiednik chyba naszego kuratorium. Poszłam
tam i powiedziałam tam temu panu, że chcę, żeby dzieci zacho-
wały macierzysty język. On powiedział: proszę pani, w tej sytua-
cji, jaka jest, jest tylko jedna możliwość, inaczej oni panią
zmuszą do oddania dzieci do rosyjskiej ochronki, nie dadzą pani
opału ani nic, warunki ma pani nie do przetrwania. Więc jeżeli
pani nie chce, żeby dzieci zrusyfikowały się, niech pani znaj-
dzie dla wszystkich dzieci przybranych rodziców, osoby, które
się dziećmi zajmą. Nie lada zadanie, bo chodziło o 50 dzieci.
Dla 50 znaleźć to trudno. ~~W~~ zaczęłyśmy szukać na wszystkie

strony no i jednak znalazłyśmy. Każde dziecko dostało cały swój majątek, wszystko co miało ze sobą, dwa koce, ubranie, itd. I tak wszystkie te dzieci poszły do polskich domów. Potem nie miałam już kontaktu z nimi. Ze mną została najstarsza dziewczynka, która właściwie też nie powinna była być przyjęta. Miałam z nią potem dużo kłopotów, miała 15 czy 16 lat. Nie miałam zresztą o niej dobrych relacji, bo jej matka zmarła, a ona bardzo niedobra była dla matki. Była bardzo ładna, zręczna miała ręce, umiała bardzo ładnie robić szydełkiem i na drutach. Ona mnie nauczyła robić na drutach, sama zresztą potem się nauczyłam, ~~po~~ Po likwidacji ochronki wynajęłam pokój, byłam razem z nią, strasznie trudne były warunki, trudno o opał, straszliwa była wilgoć w tej wynajętej norze, bardzo biedni byli ci ludzie i też nie mieli opału; wynajęli pokój za to, że ja kupiłam opał, z którego i ja korzystałam. Opał był strasznie drogi i cały majątek włożyło się w to, właśnie. A ludzie byli strasznie biedni. Jak kiedyś dostałam ryżu, ugotowałam, a nie było właściwie go w czym gotować, tylko taka była dziura była w kominie, oni mieli małą kuchenkę jakąś, na której czasem gotowali, warunki były straszne, to się okazało, że oni nie jedli nigdy ryżu.

W ochronce miałam jakąś pensję, nie pamiętam ile, ale nie było to dużo. Odłożyłam całą ostatnią na ten opał.

Moje koleżanki z pracy ^{w ochronce:} jedna to była astronomka z Krakowa, nazywała się Saraniecka, potem była pani Krupowa, wychowawczyni, nazwisko podobne albo takie samo jak tej pielęgniarki, z którą uciekałam z Kazachstanu, może trochę inne. Saraniecką pamiętam, bo z nią miałam potem kontakt. Potem była jeszcze jedna, nauczycielka, bardzo miła pani, której nazwiska nie pamiętam, no i ta, która była kucharką, też zapomniałam nazwiska, pół wieku. Wszystkie miały wyższe wykształcenie, były bardzo ofiarne.

Każda po rozwiązaniu ochronki urządziła się na własną rękę i nie miałyśmy kontaktu, jedna była w szpitalu, jak ja.

X Panią Bielawską zostawiłam pod opieką żony policjanta, która miała 5 dzieci. I wszystko, co zostało, co ona miała, miało jej wystarczyć i jej wystarczyło na kupienie żywności, tamta kobieta miała jej gotować. Biżuterię już przedtem sprzedała, jak opowiadałam. Wykorzystywali to ci w skupie albo ci, co przyjeżdżali. Musiała na pół roku kupić mąki, jakoś to wszystko zorganizować. Warunki były okropne, ale w lepiance był już mniej osób. Najgorsze kłopoty były z opałem, z tymi kiziami, były strasznie drogie. Poszłam w Semipałaty^{nsku} do ambasady dowiedzieć się o panią Bielawską. I dowiedziałam się ze spisów, znalazłam ją z tą panią, z tymi już wyrosniętymi trojęciorgiem chę 8 dzieci, w okropnych warunkach. Mieszkaliśmy wszyscy kątem gdzieś, w brudach. Jak tylko miałam okazję, posyłałam jej tę zupę czy zaoszczędzony kawałek chleba, ona chyba nie miała żadnych kartek. Jedna pani nawet kiedyś wymawiała mi, że jej posyłam tę zupę ~~przez tę kucharkę~~ przez tę kucharkę. Ja powiedziałam, przecież ^W to zupy jest dosyć, zupy każdy dostaje tyle ile chce, więc nie ubędzie jej nikomu, jeżeli się pośle jednej nieszczęśliwej osobie, to żaden... Ale inna może też chciałaby dostać - usłyszałam. Nie wiem, powiedziałam, jest nieszczęśliwa osoba, moim obowiązkiem jest dać jej co mogę, ze swoich rzeczy czy co mogę zdobyć. Rzeczy nie miałam żadnych, sama dostałam jedną sukienkę na zmianę, bieliznę co miałam, nie pasowałoby na nią. Trzeba ją było jednak przede wszystkim stamtąd wyrwać, gdzieś wynająć jej, wymyć ją, wykapać, ale niestety wszyscy mieszkaliśmy w takich warunkach. Jak ktoś mógł już czystość utrzymać, wyprać? Przecież nawet o mydło było trudno, jak o wszystko inne. ~~Tak~~ Dostawało się przydział mydła, nie pamiętam już, jak było z praniem. Tak samo chyba w tym samym kotle prało się, co i goto-

wało tę zupe.

Pani Bielawska mieszkała z tą żoną policjanta. Ja natomiast rozchorowałam się od tej strasznej wilgoci, nie miałam żadnych warunków.

Bojko

Zostało mi więc trochę mąki i kupiłam trochę kaszy, czy czegoś. Staraliśmy się te dzieci zabezpieczyć na zimę. Dostałyśmy z ambasady wełnę dobrą, żeby zrobić dzieciom odzież. Ale kto ma zrobić odzież dla 50 dzieci? Po naradzie postanowiłyśmy, że starsze dzieci muszą się nauczyć robić na drutach. Teraz - skąd wziąć druty? Chodziłam po sklepach - mowy nie było, spicy - wykluczone. Obeszłam wszystkie sklepy, błagałam, gdzie można by dostać coś, z czego druty mogłyby być zrobione. W jakimś sklepie znalazłam coś dziwnego, pokręconego, zrobionego jakby z drutu. Pytam: co to jest? A sklepowa odpowiada: a cört jewo znajet. A do czego to służy? Ona: priszali, tak ležit, nikto nie pokupajet. Więc ja to kupiłam, chłopcy jakoś to wyklepali i porobili z tego druty, potem jeszcze coś się zrobiło. Najmłodsze dzieci dostały małe druciki. Nawet ta czteroletnia dziewczynka nauczyła się robić na drutach. Robiła tak szybko, że tylko rączki jej chodziły. Chłopcy też się nauczyli. Powiedziałam: dziewczynki robią małym dzieciom, ale chłopcom już nie mogą, robi się zimno. Chłopcy najpierw odmówili, że nie będą robić babskich robót. No to będziecie bez szalików i ciepłych ubrań, bo dziewczynki i bez tego mają dużo roboty z małymi dziećmi. Spuścili z tonu i nauczyli się. Jak potem byli wdzięczni! Jedna pani, która wzięła tego chłopca, mówiła potem, że on robi tak szybko na drutach, że ona kupuje kradzioną wełnę z fabryki sukna wojskowego, sprzedawaną na rynku, milicja wiedziała to zresztą, myśmy też to kupowały. My, Polacy żyliśmy tam z tego, ja też nauczyłam się robić, robiłam i sprzedawałam swettry. A ten chłopczyk robił tyle, że utrzymywał ich wszystkich, robił tak szybko, że tylko te druty migają mu. Jak przyszła komisja i te panie popatrzyły na to, jak te wszystkie dzieci szybko i starannie robią na drutach, powiedziała: pasmatritie, kakoj trudobliwyj narod? Jaki pracowity naród! W oczeredi, na spicach rabotajut, i sejas ^{daje}, etot malenkiy rebiionok toże!

Ale ja zachorowałam, zaczęłam gorączkować, miałam chory kręgosłup, jeszcze w szkole miałam trzy kręgi przesunięte, naświetlane. Przyszędł lekarz, chyba z Ukrainy, jakiś docent, czy co. Zbadał mnie, stan podgorączkowy stale utrzymujący się parę tygodni, i powiedział: to jest gruźlica kręgosłupa, pani powinna być w szpitalu. Jak zaczęły ^{Moiam} te moje znajome Polki, te co po Powstaniu Styczniowym, córki tego pana, Jaworowskiego, przykutego za czarskich czasów 18 lat do taczek; jak przyszli ^{komuniści,} Rosjanie, rozstrzelali i jego i jego braci. I zostały tylko te siostry, interesowały się Polakami, miały w dowodach narodowość polską. One pamiętały tę piosenkę swojego ojca: "jeszcze Moskwa Polakowi będzie buty czyścił", taki refren. I potem jedna z tych ^{wspieranych} pań, Zofia, wywieziona, znalazła swoją ² siostrę. Tamte ^{To były} panie nazywały się Kotowskie, one miały ogród, dom i od czasu do czasu zapraszały na herbatę, 5 czy 6 osób, na coś domowego. Zawsze powtarzałyśmy na tych spotkaniach, że my na pewno wrócimy, chociaż stale nam powtarzano, że nie wrócimy nigdy do Polski. Wrócił też ktoś, brat czy ^{Wojciech z żoną} mąż, skazany, ze straszego jakiegoś obozu. Bardzo krótko już żył po zwolnieniu. Jak opowiadał, pracował w lesie, w tajdze. Wrócił z odmrożonymi palcami u nóg, brakowało też mu części palców u rąk. Był na dalekiej Północy. Opowiadał, że jak miał odmrożone palce, to mu ten ich strażnik enkawudzista, przywiązał piłę do przegubów i kazał piłować mimo to. Jacyś sadyści straszni. Opowiadał też, jak przez jakieś ~~potworne~~ potworne bagna się przedzierali, zapadali. Po jego opowieściach wydawało nam się, że to co my mamy w Kazachstanie, to był raj w porównaniu z temtymi. Zmarł po dwóch czy trzech miesiącach na serce, w ogóle był bardzo słaby, nie dało się go odżywić ani odratować.

Pani Bielawska. Przyjechała którymś transportem do armii Andersa do Sempalatynska, z kobietą, która się nią opiekowała. Ja dowiedziałam się, gdzie jest i odnalazłam ją. Do ochrony nie mog-

3

łam jej przyjąć, bo sama miałam tam tylko legowisko, tylko mogłam jej pomóc o tyle, że dzieliłam się z nią zupą. Nie ~~musia~~ miała co jeść, więc powiedziałam, że ja mogę zrezygnować ze swojej porcji zupy. Ale właściwie zawsze była zupa. Uważałam, że to nieludzkie odmawiać chociaż tej zupy, jak ta zupa jest; a jedna Polka dziwiła się mi odmawiała.

Więc poszłam do szpitala. Powiedzieli, że to wszystko będzie miało sens, jeżeli zrobi się gipsowe łóżeczko dla mnie. A żeby mieć to łóżeczko, musiałam ileś metrów gazy zdobyć, ogromną ~~ilość~~ ilość, dookoła całego ciała, byłam jak w kokonie. Trwało to parę miesięcy, zanim ją zdobyłam. Potem zresztą ten kokon był potworny, bo marzłam w nim, zamarzał na mnie po prostu. Wszyscy moi przyjaciele, wszyscy Polacy ~~stawali~~ stawali się zdobyć tę gazę i dwadzieścia kilogramów czy kilkanaście kilogramów gipsu, bez tego nie przyjmowano do szpitala. Dobrzy ludzie zdobyli dla mnie to wszystko, pomagał kto mógł, masę osób mnie odwiedzało. Wreszcie przewieziono mnie do szpitala gruźliczego kości dla dzieci, bo nie było dla dorosłych takiego. Dostałam miejsce przy blaszanym piecu, nieopalanym. Leżeliśmy łózkami w dwa rzędy gęsto, ~~prawie~~ prawie że przejść nie można było. Od czasu do czasu stała szafka. Tam ^{dziewczynki} leżały ~~dziewczki~~ po 12-13 lat i ja jedna dorosła. Ja nazywałam się "tiotienka". Była taka Tatarka jedna, która bardzo ładnie śpiewała, prosiłyśmy ją, żeby śpiewała. Ona ciągle prosiła mnie: tiotienka, nauczycie mnie polskuju piesniu, ja spoju polskuju piesniu. Nauczyłam ją śpiewać "My pierwsza brygada", bardzo jej się to podobało. Zapisala słowa po rosyjsku, doskonale wymawiała, ~~śpiewała~~ doskonałą miała dykcję, zdolna była, śpiewała świetnie. Wszystkie prosiły ją, żeby śpiewała. Potem poprosiła o jeszcze jedną, ale jakąś wesołą piosenkę, więc ją nauczyłam "Umówilem się z nią na dziewiątą". I ona to nam śpiewała, jak było smutno.

W tym pancerczu leżałam 9 miesięcy. Nie pamiętam dokładnie

roku, jak ~~ja~~ wychodziłam, było już bardzo niedobrze z sytuacją. Przedtem, jak mówiłam, zrobiłam zapas drewna i mąki. Jak skończyła się mąka w tej dziurce, co mieszkałam, u tych biednych porządnych ludzi, w tym wilgotnym kącie, to byli Rosjanie. Mieli bardzo miłego chłopca, syna, który jak dostałam ryżu, poczęstowałam go, to pierwszy raz jadł ryż. Tam miałam ten zapas mąki i opału i jak to się skończyło, ta dziewczynka ~~nie~~ ... Nie odwiedziła^{ła} mnie ani razu przez te 9 miesięcy. Coś sobie gotowała, tę mąkę zużyła, a przyszła dopiero, jak chciała mi powiedzieć, że już nic nie ma, to była jedyna wizyta. ^{Ja} jej powiedziałam: wiesz, teraz już ci nic nie pomogę, sama dostaję dwa razy dziennie tę zupełną szpitalną i ~~raz~~ dziennie wrzątek, i chleb na kartki który i ty masz, ja ci nic nie pomogę, robisz bardzo ładnie na dratach, musisz sobie sama poradzić, bo ja nie mam ani pieniędzy ani nic, żadnych rzeczy, tylko to, co na sobie, rzeczy moje zostawiałam u tamtych pań. Ona mnie już nie odwiedziła, nie wiem, co się z nią stało. Nie mam do niej pretensji, bo dla swojej matki też była niedobra, dla rodzonej matki. ^{Ja} ^{ka} wyszłam ze szpitala, to ³ panie ² znajome ¹ moje wynajęły mi ^{ka} w kuchni w suchym domu, ~~pr~~ możliwość mieszkania. Kuchnia miała okno, stało łóżko, w łóżku deski, a na deskach leżała kawałek wełnianej portiery, bo ~~ona~~ nie miała, ta gospodyni, nic więcej. Ona była pielęgniarką z wojskowego szpitala, bardzo dobra kobieta, Rosjanka, która zgodziła się przyjąć kogoś, kogo nie widziała, ~~w~~ wiedziała, że mam gruźlicę kręgosłupa, jestem prosto ze szpitala. Zawsze wspominam ją z taką wdzięcznością, jak kogoś z bliskiej rodziny, niezwykle dobry człowiek.

X Nie zapomnę nigdy, jak mnie przywieźli tam, miałam trochę zesztywniałe kończyny, ^{w szpitalu} nie ruszałam się tyle czasu, musiałam leżeć na brzuchu, miałam tylko coś w rodzaju poduszeczki pod samą potylicę, wypchaną watą, a w dzień leżałam w gipsie, koło

tego lodowatego, zięjącego zimnem blaszanego pieca. Wkładali mnie do tego lodowatego gipsowego kółeczka. Raz przez te 9 miesięcy mnie wykąpano, tylko dawali twarz obmyć i ręce i to była cała toaleta. Okropność.

Kiedy mnie więc przywieźli do niej, ona nagrzała wody, w kuchni było duże okno, podłoga malowana, naląła wody do metalowej balii i wykąpała mnie. Nigdy jej tego nie zapomnę. Powiedziała, że nie ma nic na te deski. Moje łóżko stało przy drzwiach, a zamróz wchodził i na okno obok, nad łóżkiem, chociaż okna i drzwi były podwójne, obite off sionki wojłokiem, to zamróz wchodził białymi jęzorami pod moje łóżko, i drzwi były zamrożone. Więc ona żeby oddzielić trochę drzwi i żeby było estetyczniej, miała kawałki gazy, pomalowała tę gazę na pomarańczowy kolor i zrobiła, szyrma to po rosyjsku się nazywa, parawan taki z brązowych drewnienek i na tym pomarańczowa gazą, bardzo to ładnie wyglądało. Potem była zabawna historia, jak moje warunki w tym kącie w kuchni - najczęściej Polacy mieszkali w kuchniach albo w piwnicach wynajmowanych, wyjątkowo komuś udało się mieszkać na parterze, jak miał złoto czy coś - wydawały mi się po prostu rajem, wykąpana, w ciepło, chociaż tu i tam wiało. Ona miała bardzo ładny, ładnie urządzone pokój, z dywanem, ale przede wszystkim była bardzo dobrym człowiekiem. Nie pytała mnie, czy ja mam cokolwiek, jak ja zapłacę. Może myślała, że będę miała jakąś pomoc z ambasady, ale tak się nie stało, bo to się wszystko już likwidowało. Ambasada została opieczętowana i wzywali mnie jeszcze z kilkoma Polkami, żebyśmy były świadkami przy spisaniu tych wszystkich rzeczy, które zostały. Tam było sporo produktów spożywczych, które miały pójść do różnych rejonów, to opieczętowali. NKWD weszło i gospodarzyło, a potem wysłało wezwania dla Polek na świadków, była tam pani Halewska, Anna Halewska, i ja, Ja powiedziałam do NKWD: dlaczego my mamy być świadkami, przecież panowie

otworzyli to przedtem , już parę dni i gospodarzyli, nikt tam spiśów nie robił i po co my tam, właściwie to jest fikcja.

A ten naczelnik NKWD z działu zagranicznego, ten co odwiedzał ochronkę, powiedział: a czy pani nam nie wierzy?! Ja mówię, proszę pana, jak mogę wierzyć, kiedy tyle razy te wszystkie obietnice nie spełniły się, nie bardzo mogę wierzyć.

Dak dowiedziałam się, że otworzyli te magazyny, chciałam, żeby tym dzieciom, już porozdawany~~m~~ rodzinom, o których jeszcze wiedziałam, gdzie są, żeby im coś z tego dać choćby na drogę. Nie chcieli mi nic wydać. Powiedziałam: przecież tyle jest tu wszystk~~ie~~g~~o~~, i to wszystko należy do polskiej ambasady, dzieci teraz pójdą do ludzi i nic nie mają! Nie, nie wydali. A było masę tego. Poza tym, okazało się, że w tym mniej więcej czasie, gdy stosunki psuły się, na moją prośbę, ~~bo~~ ambasada chciała wywieźć ochronkę, podałam, ile osób będzie potrzebnych do opieki nad dziećmi. Wszystkie panie chciały jechać, ale nie zgadzali się, więc powiedziałam, że jedną, najwyżej dwie. To było strasznie przykre, bo każda chciała jechać, ale nie mogłam wysłać wszystkich, więc podałam jedną czy dwie, nie pamiętam. Wtedy przypadkiem, bo mnie znali z ochronki, okazało się, że ambasada wysyłała na moje nazwisko, /kiedy były zgromadzone zapasy na zimę i miały być rozesłane na zimę do tych dalekich rejonów, po 18, 20 km od rejonów, ludzie będą zasypani śniegiem; a Żydzi nasi już dowiedzieli się, przyszli do mnie, że pani będzie teraz ~~tym~~ przedstawicielem ambasady. Powiedzi~~ła~~ : żadnym przedstawicielem nie będę, bo jestem chora. A nie, na pewno pani będzie. Okazało się, że mieli rację, bo ambasada unaję mnie ze sprawozdań, wysyłała do mnie depesze. I ja do nich. I okazało się, że te depesze NKWD zabierało, dotyczące rozdzia~~o~~łu tych wszystkich rzeczy, tej żywności dla rejonów. Potem dostałam nagle dwadzieścia kilka depesz, jak już było po wszystkim. Nawet je przywiozłam ze sobą do Polski, ale mama moja jak zobaczy

ła te depesze, powiedziała, że nie można ich przechowywać. Ja je wsadziłam w watę od materacyka. Tam był rozdzielnik na każdy rejon - ile mąki, ile kaszy, ile czegoś, dla każdego rejonu, gdzie byli Polacy. To wszystko NKWD zabierało, mnie nie doręczali, a potem doręczyli cały plik, jak to było nieaktualne.

Moja mama znalazła już w Polsce te depesze i mój wyrok, który porwała na kawałki. Ja te kawałki zebrałam, znajomi mi skleili i mam je do tej pory, bo wydaje mi się ważne, żeby mieć ten wyrok, z winą on jest tak dysproporcjonalny, że charakteryzuje nasze okrutne czasy.

Moja gospodyni w Semipałatyńsku nazywała się na imię Nadieżda. To była zwykła, dobra kobieta, opowiadała mi, jak wiele tam osób, że miała babkę czy ciotkę Polkę. Okazała mi niezwykłą dobroć. Po wyjściu ze szpitala źle chodziłam, byłam bardzo jeszcze słaba, ona mnie taką przyjęła. Stworzyła mi przychylne warunki, łóżko, tę portierę wełnianą. Spałam pod moim wiatrem podszytym futerkiem, pod tymi źrebaczkami, bez prześcieradła, tylko kawałek miałem, połówka mniej więcej. I to mi służyło cały czas.

X Jak wróciłam do Polski, badali mnie w szpitalu dla dorosłych, powiedzieli, że nie miałam wcale gruźlicy kręgosłupa, tylko reumatyczne duże zmiany. Sypiałam przecież często na nieopalanej cementowej podłodze. Mieszkałam u niej do wyjazdu, czyli około 2 lat. Przed wyjazdem ona też wykazała niezwykłą troskę. Napisałam kiedyś do ambasady w Moskwie, z prośbą o umieszczenie mnie w jednym z pierwszych tzw. eszelonów, którymi repatriowano nas stamtąd. Przesłano mi na drogę 100 rubli, duża to była suma. Dłuższy czas używałam tych pieniędzy i ona pamiętała o tym, żeby z tego przygotować mi suchary na drogę. Więc jakieś białe pieczywo zdobywała, suszyła, bo wiedziała, że ja jestem chora i ciemny chleb mi szkodził. Chociaż tam chleb ciemny był bardzo dobry, bo pszeniczny, nawet w więzieniu był bardzo dobry chleb.

Przez ten cały czas żyłam z robienia swetrów na drutach, czego nauczyłam się od tej dziewczynki. Robiłam po 2 swetry miesięcznie i sprzedawałam żonom wielkich urzędników w Semipałatyńsku, i one były tym zachwycone. Nauczyła mnie robić ścięgi z jakichś listków, kuleczek, ażurowe. One przynosiły wspaniałe, cieniutenkie wełny, tak że to wyglądało jak koronki. Na ogół jednak robiłam na sprzedaż swetry zwykłe, z kradzionej wełny, kradzionej przez pracownice^v fabryki sukna wojskowego, którą kupowałam na bazarze. Na bazarze była milicja i ochrona, i oni wiedzieli przecież o tym, wiedzieli, jaka to wełna. Ponieważ robiłam powoli, to oprócz tych ~~szubrych~~^{wytwornych,} z pięknej prywatnej wełny, udawało mi się robić tylko dwa zwykłe miesięcznie. Moja pani Jena Kucińska, znajoma, sprzedawała je w czasie, kiedy ja pilnowałam jej starych teściów i małego syna. Kupowała mi chleb, a ja pilnowałam dziecka i tych starszych państwa. Oni już nie wrócili, a z dzieckiem też był straszny dramat. Kiedy trzeba było wyjeżdżać, ten mały chłopiec zachorował na tyfus groziło to, że on będzie musiał zostać. Ona teraz mieszka w Krakowie, a przedtem mieszkała jakiś czas w Afryce. Jej mąż był tam przedstawicielem ambasady, w Semipałatyńsku. I kiedy po raz drugi, czy który aresztowano tych przedstawicieli ambasady, jego zabrano do straszliwego więzienia na Uralu, Złatoust. To było najstraszniejsze więzienie dla politycznych. Mówiono, że stamtąd prawie nikt nie wraca, i z nim tak się właśnie stało. Ponieważ ona^{nie} nauczyła się rosyjskiego, ani mówić, ani pisać, a ja nauczyłam się szybko, to ja pisałam do niego listy. I posyłało mu się paczki. Oczywiście, te paczki z trudem zdobywała, chodziło o to, żeby tłuszczu jak najwięcej czy cukier, to było wszystko z trudem zdobyte. Mówiono tak, że jak paczka nie przychodzi, to jest pierwszy sygnał, jak wraca. To się w ogóle bardzo rzadko zdarzało, bo uważaliśmy, że te pacz-

nauczycielka

ki były kradzione przez pracowników. Więc wreszcie kiedyś przyszedł taki list, ostatni list, jak czytałam, wiedziałam, że coś z nim jest, bo charakter pisma był tak zmieniony, że z trudem to odczytałam. Listy zwykle były bardzo krótkie, pisał, że zdrowy, pytał, co się z nią dzieje i ja w tym samym stylu odpowiadałam, chociaż prosiłyśmy o jakieś szczegóły. Przyszedł następny list, pisany obcym pismem, przez kogoś niezbyt dobrze piszącego, niewyrobionym charakterem, mało gramotny, jak tam mówiono. On pisał, że : proszę pani, wiem, że Polakom nie ~~gust~~ dzieje się dobrze, w Semipalatyńsku też, że mają bardzo trudne warunki, a pani przysyła paczki, a tutaj już dwie czy trzy paczki, które od pani przyszły, nie zastały adresata. On zmarł na tyfus, i podana była data dokładna. Wtedy ona przyszła do mnie, ta żona, z rozpaczą, ja przeczytałam jej ten list. Co robić, jak upewnić się, że zmarł i kiedy. Trzeba było pójść jednak do tej instytucji, do NKWD, do zagranicznego działu i dowiedzieć się, co się stało, żeby wydano jej jednak papier^{chcieć} ry. Chciała przecież wrócić, miała syna, poza tym mogła/wyjść za mąż, była bardzo ładna i do tego kokietka, ja przewidywałam to. Więc prosiła mnie, żeby pójść tam z nią, żeby wydano jej zaświadczenie, że on nie żyje. Z tym był staszny kłopot.

Jak przyszłyśmy razem do NKWD, ja w charakterze tłumacza, wyjaśniłyśmy, że ona chce się dowiedzieć, co z jej mężem. I że dowiedziałyśmy się od innych osób, że jak wraca paczka, to więzień nie żyje, więc jak to jest z nim. Żadna paczka oczywiście nie wróciła, tylko tak powiedziałyśmy. Więc ten powiedział, że dokumenty w wypadku śmierci powinny wrócić tutaj, więc może wróciły, bo podobno dokumenty przychodzą do miejsca, skąd więźnia zabrano. Powiedział, że absolutnie nic nie wiedzą o tym i kazał przyjść za tydzień czy dwa, że przez ten czas się dowiedzą.

Oczywiście, to była nieprawda, chciał po prostu odłożyć tę rozmowę. Jak przyszłyśmy powtórnie, czy wezwano nas, to powiedzieli, że on rzeczywiście nie żyje i ona dostanie pocztą to zaświadczenie. No i żeby było, jak zwykle, niezbyt prawdziwie, to data śmierci była bliska czy nawet prawdziwa, ale napisano, że zmarł na zapalenie płuc w Semipałatyńsku. W każdym razie dostała dokument.

* Ona nazywała się Kucińska Irena. A on zdaje mi się Zbigniew. Jak mieliśmy więc wyjeżdżać i Januszek Kuciński zachorował na tyfus, miał 7 - 8 lat, może trochę więcej, bo dzieci były takie zagnodzone, nie było jak go zabrać. Ja dorobiłam się takiego dueżgo pudła, które służyło za szafę, to była szafa i kredens, i książki tam trzymałam, miała z dykty zrobione półeczki przez kogoś ze znajomych. Więc ona powiedziała, że on jest chory i będą musieli zostać. Na szczęście trochę przesunięto termin wyjazdu i kiedy ona przyszła, do mnie z kłopotem, że on jest starsznie słaby, nawet karmić go trzeba było, bo nie miał siły, zapytała mnie, czy mogłabym dać to pudło, żeby go w nim przewieźć. Powiedziałam, że oczywiście, i tak zrobiliśmy. Januszka włożono do tego pudła, byłam przerażona, bo to wyglądało jak do trumny; ona też tak uważała, ale była szczęśliwa, bo można go było w tym pudle postawić na ciężarówkę i tak odwieźć do wagonu. Mnie przewieziono też tam w podobnym czasie, ale ^{nie}trafiliśmy do tego samego wagonu, więc nie wiem, kiedy oni pojechali, nawet nie pamiętam, czy kontaktowałyśmy się, jak wagony otwierano, żeby iść po wodę, chyba nie. I potem spotkałyśmy się już, jak wróciłam do kraju. Odnalazłam ją, wszystko było w porządku, on się już uczył. Skończył zoologię i został wicedyrektorem ogrodu zoologicznego w Krakowie, a miał wielkie zamiłowanie do rowerów i dzięki temu jeździł stale jako sędzia na międzynarodowe wyścigi i dzięki temu zwiedził prawie cały świat.

Był tam taki mały chłopczyk, Kola, u sąsiadki, cztero- czy pięcioletni. Miał ciotkę Irinę, która była nauczycielką, a Kola zostawał z babką, kiedy Irina była w pracy. Ponieważ mnie kaza- no naświetlać ten kręgosłup na słońcu od 11 rano do którejś godziny, miałam leżeć, zakryte wszystkie kręgi oprócz tych chorych, nasło- necznąć się. Kiedy Kola chciał wyjść na dziedziniec, a babka wiedziała, że on lubił ze mną rozmawiać, to mówiła: nie chodź, bo pani Irina leży gołaja /to znaczy ja/. Więc kiedy Kola po- tem przychodził do mnie do domu, pukał i pytał: pani Irina, wy gołyje ^{W domu} ili można tam? Więc ja mówiłam, że nie jestem goła w domu, tylko chodzę i coś robię. On zawsze pytał, czy ja mam jakiś pierniczek, czy może cukierek. Może jest u was kakaja nibudā kanfietka ili ^{nik} prianezyk? Nigdy nie miałam takich rzeczy, niestety. Chuliganie nauczyli małego Kole piosenki kontrrewolu-

cyjnej. "Cyplonok żarennyj, cyplonok parnyj, paszoł po gorodu guliat', jewo pajmali, ariestawali, wielieli pasport pakazat' ". A potem był refren, który powtarzał się: "Ja nie sawietskij, ja nie kadietskij, a ja swobodnyj grażdżanin". I Kola to oczywiście ze swoją dziecięcą wymową śpiewał, włąził na dach i śpiewał. Zwłaszcza kazali mu ci chłopcy powtarzać ten zakazany refren. On głośno wykrzykiwał: ja głażdżanin! a babka wychodziła i błagała go: Kolenka, Kolenka, wierniś, szto diełat' itd. Nikt oczywiście nie zwracał uwagi, ale babka była przerażona, bo gdyby ktoś doniósł, ponieśliby konsekwencje, i nikt by nie wierzył, że to chuliganie.

Historia rzekomego przechowywania polskich oficerów.

Kiedyś wezwano mnie do tej instytucji, gdzie nikt z nas nie lubił chodzić, do zagranicznego oddziału i zapytano mnie, pani a raczej stwierdzono: spotyka się z polskimi oficerami. Ja zdumiona, powiedziałam, że z polskimi oficerami? ja? ja ich przecież tu nigdy nie oglądałam, odkąd wojsko wyszło, tu zresztą tak niewielu było. A gdyby tu przyjechali teraz, kiedy wojsko wycofano z tych terenów, to chyba panowie pierwsi by o tym wiedzieli, a nie ja. Przy przesłuchaniu był główny naczelnik, Dubinin, mówiono o nim, że bije przy przesłuchaniach, i naczelnik tego działu zagranicznego, który odwiedzał ochronkę, i jeszcze był taki młody, który pewnie uczył się, jak trzeba przesłuchiwać cudzoziemców. Powiedziałam, że ktoś doniósł absolutną bzdurę. Nie wiem, czy uwierzyli, ale mnie wypuścili.

Potem miałam jeszcze przesłuchanie z powodu tych depesz na temat wagonów z rzeczami, które przychodziły za pośrednictwem NKWD. ~~Te~~ Te wagony szły z Aszhabadu do Semipałatyńska dla polskiej ludności. Wykazy tych rzeczy były tak długie, że niektóre depesze były na paru blankietach.

W powrotnej drodze był absolutny zakaz wywożenia jakiegokolwiek dokumentów, dlatego moja matka tak bała się tych depesz, łącznie

X z tym dokumentem, który musiałam przecież przewieźć, to kazano jednak oddać, dokument, kiedy wyszłam z więzienia, z krugłoj pieczatui, z Czymkientu, przecież to był ^{podstawowy} mój/dokument, po przyjeździe właśnie wymieniono mi go na jakiś polskie dokumenty. Przyjechałam więc jako przestępca.

Srodowisko polskie w Semipałatyńsku. Jedna z tych pań, które robiły herbatki, toż była córka zesłańca z Powstania Styczniowego, przykutego przez 18 lat do taczek. A potem go zwolniono, został bez prawa powrotu do kraju, dorobił się, pracował w kopalnich złota, kupił dom, ożenił się chyba też z Polką miejscową, tam było sporo Polek, które miały wpisane w dowodzie "narodowość polska" ale po pobku już nie mówiły.

Była też pani Wilkowa, która odnalazła te swoje siostry, Kotowskie. Miały tam dom, ogród. I chociaż ten zesłaniec był za carskich czasów więźniem, katorżnikiem, ^{jego synów a} to/braci jej wszystkich rozstrzelano już za władzy radzieckiej. I one zostały same, to była duża rodzina, ich było dwie czy trzy, a jedna była lekarzem. ^{Poznałam ją.} w Alma-Acie. Ona opowiadała, jak woziła transporty dzieci małoletnich, które były plagą władzy radzieckiej na początku, były straszliwie zdemoralizowane, były tam 12- 13-letnie syfili-tyczki. Trzeba było je wywieźć, bo miały chorobę w takim stadium, że musiały już umrzeć. Wywożono je na daleką północ, a ona była lekarzem konwojującym transporty tych dzieci.

Tak samo jak okropne było spotkanie zą pewnym Rosjaninem, który wrócił z obozów na dalekiej Północy, z odmrożonymi... on był bratem, czy krewnym, o którym już mówiłam. Opowiadał te straszliwe rzeczy. Pędzono ich do pracy mimo odmrożonych palców u rąk i nóg. Po powrocie żył tylko dwa miesiące. Pracowali w ładach, tajgach. Przywiązywali mu piłę do przedramienia. Rosjanie nie są złymi ludźmi, ale sadyści wszędzie się zdarzają.

Do wyrębów mogli się dostać tylko przez te zamrożnięte "nieprochodimyje bołota". Zwolnienie zależało tylko od tamtejszego naczelnika, nie było terminu kary. On po powrocie cieszył się niby, ale jego objawy radości były jakieś nieżywiłowe, on był człowiekiem absolutnie wykończonym i zakłamanym.

Na herbatkach bywała też żona pułkownika, młoda i zdrowa. Mam fotografię tego ~~duu~~ pań Kotowskich. Jej ojciec śpiewał /jednej z pań Kotowskich/ piosenkę, w której powtarzało się: "Żeby Moskał Polakowi jeszcze buty czyścił", powtarzały to w zniekształczonej formie, nie bardzo już rozumiały po polsku. Ojciec ich umierając prosił, że jeżeli nie zdąży wrócić sam, to żeby jego prochy pochować gdzieś w Krakowie, pod Wawelem. Pochodził spod Krakowa i jak opiekował się oficerami polskimi w niewoli, oni mu w Kamieniogorsku wzniesli wspaniały pomnik z kamieni, piramidę z kamieni scementowanych, i na tablicy było jego imię i nazwisko, imienia nie pamiętam, i napis: na Wawel, na Wawel. Bo marzył o tym, żeby jego prochy były pochowane w krakowskiej ziemi.

O wojnie między Niemcami a Rosjanami dowiedziałam się w więzieniu w Czymkiencie. Kiedy naszwalniano, co to nas tak pocieszała ta lekarka i pielęgniarka, powiedziała Zoja, zobaczcie, prędko będziecie na wolności. Przyszedł dyżurny i powiedział: dawajcie z wieszczami. Przeprowadzono mnie do naczelnika i on powiedział, że będę zwolniona, ale ani do Lwowa, ani do żadnego miasta tam, tylko tutaj. Potem okazało się, że blisk było Ługawoje i tam tworzyło się wojsko polskie, więc lepiej zrobiłabym zostając tam, bo mogłam z nimi wrócić, ale nie było mi to sądzone i powiedziałam: w takim razie do Semipałatyńska.

Zakończenie wojny. Moja znajoma, pani Kucińska, nawiązała kontakt z rodziną jeszcze przedtem, a rodzina powiadomiła kogoś z Anglii i dostawała nawet paczki, więc część sprzedawała,

a część miała dla siebie. To było wtedy, kiedy ja dostałam te 100 rubli na podróż z Moskwy, tam był ktoś znajomy z Wilna, le-
karki syn, Petruszewicz, zajmował się pajakami, podobno nadzwyczajne zwierzę, był w ambasadzie, więc jego prosiłam, żeby mi ułatwili powrót. Jego nie było wtedy, ale był Jędrychowski, który był potem ministrem tutaj w Polsce, więc otrzymałam od niego depeszę, w której powiadał mi o wszystkich osobach, o które pytałam, że ten Petruszewicz żyje, i że dziekan mojego wydziału, profesor Czeżowski, filozof, przeżył też i jest, i któryś tam z profesorów też robił starania o mój wcześniejszy powrót, napisali mi parę kartek, więc byłam bardzo wzruszona, ^{bo} że choć mieli tyle kłopotów, pamiętali o takim głupstwie jak ja.

† Jak przyszła wiadomość o powrocie, przyniosła mi ją moja znajoma, pani Kucińska, że będziemy wracać. Że musimy się przygotowywać. Przygotowywałyśmy się jak mogłyśmy, i jej gospodarze. To byli inteligentni ludzie oboje, przyjeżdżał czasem ich syn, wojskowy. Wojskowym nie pozwalano rozmawiać w ogóle z żadnymi cudzoziemcami. Ci gospodarze byli bardzo dobrzy, ona czuła się tam jak w rodzinie, ten gospodarz zrobił nawet temu małemu Januszowi klatkę na jakiegoś wróbelka, okazywali dużo serca. ~~Jak~~ Ale przy tym synu gospodarze w ogóle z nimi nie rozmawiali, bo był wojskowym, chociaż przecież mieszkali wszyscy w jednym pokoju. On trącał ją, żeby żadnych pytań nie zadawała, czy coś takiego, bo on nie ma prawa odpowiadać, a on nie mógł swobodnie rozmawiać nawet przy rodzonym synu.

Zbieraliśmy zapasy na drogę, i suchary, i tłuszcz, wszyscy starali się sobie pomagać, żeby jakoś przetrwać tę drogę. Potem przed odjazdem te rodziny nam pomagały, nosiły kawę.

W wagonach było bardzo ciasno, leżące miejsca były właściwie tylko dla chorych, reszta tylko tak przykucała. Było tak gęsto naładowane, może nie tak, jak w przeciwną stronę, ale też gęsto.

Dlatego małego po tyfusie też lekarz musiał dać zaświadczenie, że już może jechać, to też był straszny kłopot. Potem niestety byłyśmy rozłączone.

W maju już byłam w Polsce, więc to musiał być kwiecień. Jechaliśmy przez tę mieścicowość Ługowaja, to było cudowne; Otworzyli nam wagony, widziałyśmy z daleka zieleń, pierwszy raz od lat widziałam zieleń, soczystą łąkę, jak w Anglii. I na tej trawie rosły ogromne, dzikie tulipany, na krótkich nóżkach, jakby siedziały w tej trawie i dzieci nam przynosiły. Tam kwiatów nie było, chyba że ktoś w ogródku miał jakiś kwiatek, jeżeli już w ogóle ktoś coś sadził, to jarzyny, pomidory, z wielkim trudem. Raz tam kupiłam mięso, w roku, kiedy zabrano młodych do wojska, nawet z więzień ich zabierali, bo skracano im wyroki. Zimą nie było paszy, kobiety same nie mogły uprawić, nie było komu kosić, bydło padało i wyrzynali bydło, a kartofli mało sadzono. Za kilogram kartofli, pamiętam doskonale, płaciłam 70 rubli, a mięso kupiłam, kilogram mięsa wołowego, za 50 rubli. O 20 rubli kartofle były droższe niż mięso.

Tam bywały takie drożdżowe ciastka, jak nasze drożdżówki, nazywały się pluszki, czasem nawet z serem ktoś dostał, ale najczęściej jak nasze, jakby dwie okrągłe złączone, to można było dostać. ~~xxxxxxx~~ Cukru wprawdzie nie dostałam ani razu przez te 6 lat na kartki, ale parę razy dostaliśmy ciasto drożdżowe, surowe, które nie wiadomo było jak wziąć, bo przecież przychodziliśmy z jakimś koszykiem czy torbą, a to trzeba było wziąć do jakiegoś naczynia. Nie miałyśmy też gdzie tego upiec. Mieszkałam jeszcze wtedy z tą dziewczynką. Był ten jeden piec, który jednocześnie ogrzewał kawałek ściany a jednocześnie można było na nim zagrzeać wodę. Więc nie wiedziałyśmy, co z tym ciastem zrobić. Te, które miały gospodynie z kuchenką, mogły czy na patelni coś zrobić, czy usmażyć, ale nam to mało dało radości to ciasto.

Do Polski wracaliśmy na wiosnę 1946 roku. Trwała to prawie trzy tygodnie. ~~Wymaganie~~

jak jechałam jeszcze z więzienia, miałam taką przygodę w Alma-Acie. Wsiadłyśmy na peronie, bo myślałyśmy, że kupimy

tanja 6/2

Podnie

jabłka. Myślałyśmy, że będą jakieś stragany, a tu nic nie ma. Pytamy, ¹gdzie ⁴można kupić jabłek, ²jakięgoś ³Rosjanina. On powiedział, że w mieście można kupić, a do miasta kilka kilometrów. Zobaczyli nas jacyś, jak się okazało, filmowcy z Leningradu. Podszedł jeden do mnie i pyta: skąd pani wraca? A ja mówię: z sanatorium, bo źle wyglądałyśmy. On zrozumiał. Panie szukają jabłek? Tu nie można kupić - i dał mi jedno duże jabłko. Potem spotkałam tego pana w Semipałatyńsku, on mnie poznał, ja jego nie, zagadnął mnie: a pamięta pani, jak szukała pani w Alm-Acie jabłek? To była miła przygoda.

W podróży powrotnej od czasu do czasu przynosili nam coś ciepłego do jedzenia, mogliśmy wychodzić na powietrze, miałam miejsce leżące, leżałam na materacyku z depeuszami wszytymi. Ta dobra gospodyni, kiedy wagony stały trzy doby jeszcze na stacji w Semipałatyńsku, to przychodziła i przynosiła mi ciepłej kawy w termosie. One dowiadywały się jakimś cudem, że te wagony stoją jeszcze, przynosiły i mnie i innym. To było nadzwyczajne, bo ona musiała ^{wcześniej} wstać albo zwolnić się na parę godzin z tego szpitala, pracowała w szpitalu wojskowym, tam była dyscyplina surowsza, a jednak urywała się z pracy, no i komunikacja tam nie była łatwa. Wszystkie teraz z wielką wdzięcznością wspominamy swoich gospodarzy.

Pojechałam do Lublina, wyładowano w szpitalu w Lublinie, tam przyjechała moja siostra. Ktoś przyszedł z rodziny, żeby powiedzieć, że zabiorą mnie do sanatorium do Cieplic. W szpitalu widziałam kwiaty, które miały chore. Bo my pierwszy raz zobaczyłyśmy kwiaty na granicy, ludzie całowali liście i kwiaty, kwitnące gałęzie jabłoni, albo ziemię, jak papież nasz. Ja już na granicy wysłałam depeuszę do pani Nadieždy, do Semipałatyńska. I całe szczęście, że ją wysłałam, napisałam, że z ca

łego serca jej dziękuję za wszystko co dobrego zrobiła i że życzę jej wszystkiego najlepszego i ta depesza doszła. Odpowiedzi niestety nie miałam żadnej. Potem od razu napisałam do niej list, który odesłano mi z pieczęcią, że "adresat wybył", a pna wcale nigdzie nie wybyła, widocznie zabroniono kontaktów tym gospodarzom, gdzie mieszkali Polacy, i listy wracały. Po dziś dzień mam ten list. A może nie doszedł dlatego, że zastałam wszystkich zdrowych i kogo widziałam z rodziny, że chociaż jestem w szpitalu, to wszyscy u mnie już byli, i że jadłam owoce, i pomarańcze i czekoladę. Może ze względu na treść list nie nadawał się do doręczenia.

Życie religijne. Cerkwie były wszystkie zamknięte, zamienione na magazyny albo składy zbożowe. Potem był okres, niedługo przed naszym wyjazdem, że otworzono jedną ^{cerkiew} ~~szkółkę~~, było nabożeństwo. I my chodziłyśmy razem z Rosjanami do cerkwi prawosławnej. Wielkanoc tam obchodzono uroczyście, a na drugi dzień Wielkanocy oni mają zwyczaj po wyjściu z cerkwi całować się i mówią wtedy "Chręstos was kries~~ia~~". Chrystus zmartwychwstał. Do nas też podchodzili i całowali, a my odpowiadałyśmy, to ładny zwyczaj, chociaż dziwny, jak u pierwszych chrześcijan. Pani Nadieżda też chodziła do cerkwi.

Wśród więźniów był ksiądz polski, który teraz jest u św. Marcina. Nie wiem, czy chciałby, żeby podawać jego nazwisko, nazywa się ks. Fedorowicz. Zawsze tam zamawiam nabożeństwa za moją rodzinę i rodziców, i on zawsze wymieniał wszystkie imiona. Ostatnio mnie odwiedził, ja dawałam na mszę, a on powiedział, że nie może odprawić mszy, bo wyjeżdża do Kanady, chyba, że pani zgodzi się, że ja zwrócę pani te pieniądze, a odprawię w Kanadzie. Niech ksiądz odprawi w Kanadzie, powiedziałam.